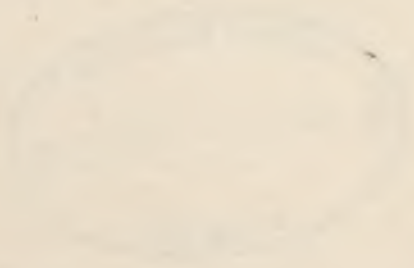




D3095

NA ANGIELSKIM
BRZEGU





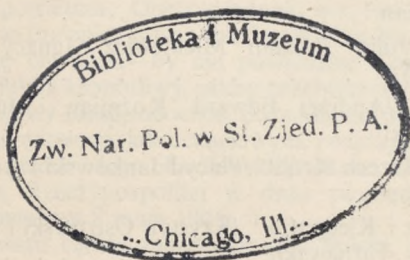
Biblioteka „Wczoraj i Dziś“,

D3095

NA ANGIELSKIM BRZEGU



8(64)



Londyn

J. ROLLS, BOOK Co. Ltd.

24 St. George Street, Hanover Square, W.1

1945

SPIS RZECZY

JOHN KEATS, przełożył STANISŁAW BALIŃSKI: Do Kościuszki	5
STANISŁAW STROŃSKI: Czy pomyłka i czyja?	5
WIKTOR WEINTRAUB: Na marginesie współczesnej historiografii angielskiej	11
MARIA KUNCEWICZOWA: Wyspa na wyspie	19
STEFANIA ZAHORSKA: U sędziego Jeffersona	33
ZYGMUNT NOWAKOWSKI: Smolarze	40
PERCY COLSON, przełożył KRZYSZTOF NIENASKI: Londyn 1887	52

x

W Polsce o Szekspirze /Ludwik Bernacki, Maurycy Mochnacki, Juliusz Słowacki, Stanisław Tarnowski, Władysław Tarnawski/	57
----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------	----

Przekłady z Szekspira /wyjątki/:

„Hamlet“ /Stanisław Trembecki i Stanisław Wys- piański/	70
„Król Jan“ /Józef Korzeniowski i Stanisław Koźmian/	72
„Romeo i Julia“ /Adam Mickiewicz i Ignacy Ke- faliński/	75
„Makbet“ /Andrzej Edward Koźmian i Juliusz Słowacki/	80
„Wieczór Trzech Króli“ /Placyd Jankowski i Antoni Lange/	84
„Antoniusz i Kleopatra“ /Krystyn Ostrowski i Wła- dysław Tarnawski/	88
„Stracone zachody miłości“ /Leon Ulrich i Edward Porębowicz/	94
„Król Ryszard III“ /Józef Paszkowski i Józef Szujski/	92
„Juliusz Cezar“ /Cyprian Norwid i Adam Pajgert/	94
„Król Lir“ /Adam Pług i Andrzej Tretiak/	95

Okladka MARKA ŻUŁAWSKIEGO ,

*Miły Kościuszko, samo twoje imię,
Pełnią wielkości nasyca nam łona
I płynie górą, jak mgła rozdzwoniona
Krzęgów nadziejskich w ostatecznym rymie.*

*I teraz wierzę, że w astralnej zimie
Nieznanych światów — herosów imiona
Prują obłoki i są jak natchniona
Harmonia niebios w sławy srebrnym dymie.*

*I wierzę także, że gdy cichym cieniem,
Wędruje miłość po ziemi bezpiecznie,
Twe imię razem z Alfreda imieniem*

*Splata się z sobą, budząc najwspanialej
Pieśń, która rośnie wciąż wyżej, wciąż dalej . . .
Aż sięga Boga, który czuwa wiecznie.*

John Keats,
przełożył Stanisław Baliński.

CZY POMYŁKA I CZYJA ?

Polska związana jest z Wielką Brytanią od r. 1939 układem sojuszniczym. Sojusz ten, w ciągu pięciu lat wojny, znalazł dobitny wyraz braterstwa broni w walkach na lądzie, na morzu i w powietrzu. Obecnie jednak, w r. 1945, gdy skończyła się wojna w Europie, sojusz między Wielką Brytanią a Polską okazuje się chwilami—by nie powiedzieć: okresami—jakby zawodny, jakby kłopotliwy, jakby przebrzmiały.

Są to objawy raczej uboczne, poza stanem rzeczy prawnym, zarówno urzędowym jak uczuciowym, znajdującym niedawno wyraz w piśmie Jego Królewskiej. Mości Jerzego VI do Prezydenta Rzeczypospolitej w dniu zwycięstwa w wojnie przeciw Niemcom 8 maja 1945:

„Na zawsze będzie zaszczytem dla Polski, że stawiła ona opór, samotnie, przeważającym siłom napastnika niemieckiego. Narody brytyjski i polski wspólnie walczyły przeciw swemu brutalnemu wrogowi w ciągu przeszło pięciu tragicznych lat straszliwych cierpień dla ludności polskiej, której odwaga i wytrzymałość wzbudziły mój serdeczny podziw i współczucie. Dzielni polscy żołnierze, marynarze i lotnicy walczyli obok moich sił zbrojnych w wielu częściach świata, wszędzie uzyskując ich wysokie uznanie. W szczególności my w tym kraju z wdzięcznością wspominamy to co zdziałałi lotnicy polscy w bitwie o Wielką Brytanię, uznanej przez cały

świat za przełomową w tej wojnie. Jest moją najszczęśliwą nadzieją, że Polska za całą swą odwagę i ofiarność uzyska nagrodę w dziele pokoju i współpracy międzynarodowej, wobec którego stoją teraz Narody Sprzymierzone“.

W tydzień później, 15 maja 1945, Pierwszy Minister p. Churchill, dziękując za życzenia Prezesa Rady Ministrów p. Arciszewskiego z 10 maja 1945, w piątą rocznicę objęcia urzędu przez sternika polityki brytyjskiej, odpowiedział:

„Niech mi będzie wolno wyrazić podziw dla rodaków Pana za ich wielki udział w osiągnięciu naszego zwycięstwa, oraz radość, że z walki prowadzonej ramię przy ramieniu powstała więź przyjaźni między Wielką Brytanią a Polską. Ufam, że więź ta przetrwa w ciągu lat, które mamy przed sobą“.

Tak jest, odświętne oświadczenia tchną naprawdę serdecznością dodającą otuchy, — pomyśli niejednen, a między nimi i ja sam, — ale powszednie, urzędowe i nieurzędowe, bywają cierpkie.

Co jednak ważniejsze? Czy ten ogrom prawdy, przypiętowanej krwią, bólem i wolą w ciągu pięciu lat niezłomnego wysiłku, która przemawia słowami Króla oraz uznaniem za wczoraj i nadzieją na jutro Pierwszego Ministra Wielkiej Brytanii, czy zgrzyty w żmudnym przebijaniu się codziennym przez trudności? Gdzie jest istota rzeczy?

Sojusze między państwami nie są wyskokami nastrojów. Zawiera się je trzeźwo i poważnie. Wiadomo, co się bierze i co się daje, czyli czego się oczekuje i czego chce się dotrzymać. Zawody i rozczarowania są zwykle następstwem pomyłek w obliczeniach.

Czy była jakaś pomyłka i czyja przy zawieraniu sojuszu brytyjsko-polskiego?

*

Sojusz brytyjsko-polski był wynikiem poglądu politycznego Wielkiej Brytanii na stan rzeczy w Europie, ustalonego już wyraźnie po długim wyczekiwaniu wobec roszczeń i przedsięwzięć Niemiec, a zarazem był dziełem dojrzałego namysłu w toku pięciomiesięcznych rokowań.

21 marca 1939, gdy w niespełna pół roku po Monachium Niemcy zagarnęły 15 marca 1939 Czechosłowację, Ambasador Brytyjski w Warszawie Sir Howard Kennard wręczył Rządowi Polskiemu notę Rządu Brytyjskiego, stwierdzającą, że jego zdaniem, w tym stanie rzeczy:

„Nie ma państwa w Europie, które nie byłoby bezpośrednio lub w dalszym biegu rzeczy zagrożone /there is no State in Europe which is not directly or ultimately threatened/“ . . .

Wobec tego Rząd Jego Królewskiej Mości uznał za konieczne niezwłoczne porozumienie się z Rządami Francji, Polski i Z.S.R.R. w sprawie współdziałania przeciw dalszym napadom.

Następstwem tego przekonania Wielkiej Brytanii i jej

porozumienia z Polską było oświadczenie p. Chamberlaina w Izbie Gmin 31 marca 1939 o pomocy brytyjskiej w razie jakiegokolwiek zagrożenia niepodległości Polski, było następnie wspólne oświadczenie brytyjsko-polskie z 6 kwietnia 1939 o wzajemnej pomocy obu państw, był wreszcie dokładny układ sojuszniczy i protokół dodatkowy z 25 sierpnia 1939.

Podstawą wystąpienia brytyjskiego było przeświadczenie, że musi wreszcie skończyć się to co było dotychczas najgorsze, a mianowicie kolejne zagarnianie przez Niemców państw sąsiednich, jak Austrii i Czechosłowacji, bez ich oporu zbrojnego. Polska ze swej strony wogóle nie dopuszczała myśli o poddaniu się najazdowi bez walki do upadłego. Dla urzeczywistnienia tej właśnie myśli przewodniej — koniec najazdów bez oporu i kolejnych zaborów — współdziałanie Polski, zagrożonej bezpośrednio /directly/ a gotowej do walki, oraz Wielkiej Brytanii, zagrożonej w dalszym biegu rzeczy /ultimately/ a gotowej do pomocy celem przerwania na czas pochodu podbojów, było obustronnie istotne.

Było to więc porozumienie nie dla pięknych oczu lecz najtrzeźwiej dla wspólnego dobra.

Dźwignią porozumienia stało się postanowienie, że Polska stawi opór zbrojny najazdowi lub zagrożeniu swej niepodległości, a wtedy Wielka Brytania udzieli pełnej pomocy, co już w pierwszym zawiadomieniu Izby Gmin, 31 marca 1939, Pierwszy Minister p. Neville Chamberlain wyraził w słowach:

„W razie jakiegokolwiek działania, które by wyraźnie zagrażało niepodległości Polski i wobec którego Rząd Polski uważałby też za konieczny opór całą siłą państwa /and which the Polish Government accordingly considered it vital to resist with their national forces/, Rząd Jego Królewskiej Mości będzie się uważał za zobowiązany do udzielenia natychmiast Rządowi Polskiemu pełnej w swej możliwości pomocy“.

Takie ujęcie obowiązku wzajemnej pomocy stało się obustronne w myśl porozumienia z 6 kwietnia 1939 i ono też weszło w ostateczny układ sojuszniczy z 25 sierpnia 1939.

*

Kiedy i w jakich okolicznościach podpisany został ten ostateczny układ sojuszniczy polsko-brytyjski?

W związku ze zwróceniem się Wielkiej Brytanii, w końcu marca 1939, do Francji, Polski i Rosji o współdziałanie przeciw dalszym napadom Niemiec, rozpoczęły się również w maju 1939 rokowania brytyjsko-francusko-sowieckie w Moskwie, umiejętnie przewlekane w ciągu czterech miesięcy przez Rząd Z.S.R.R., który nagle zaskoczył świat podpisaniem 23 sierpnia 1939 umowy z Niemcami, rozstrzygającej już stanowczo na rzecz wybuchu wojny przez współdziałanie niemiecko-rosyjskie w uderzeniu na Polskę. Wówczas to, w dwa dni później, 25 sierpnia 1939, podpisany został w Londy-

nie brytyjsko-polski układ sojuszniczy. Jest rzeczą jasną, że porozumienie między Niemcami a Rosją wpłynęło zarówno na podpisanie układu brytyjsko-polskiego właśnie w owej chwili jak na jego treść i budowę, powodując rozłożenie postanowień na układ jawny i dodatkowy protokół tajny.

Istotne postanowienia szczególne tego układu wraz z protokołem, poza zwykłymi postanowieniami obronnych układów sojuszniczych, czyli wzajemnej pomocy przeciw napadowi, dotyczą właśnie zakresu działania sojuszu oraz sposobu zastosowania go w różnych przypadkach.

A mianowicie:

a/ według układu /art. 1, 2, 3/, postanowienia wzajemnej pomocy dotyczą napadu lub działania zagrażającego niepodległości jednego z układających się państw ze strony jakiegokolwiek państwa europejskiego, lecz protokół /art. 1/ objaśnia, że jeżeli stanie się to ze strony Niemiec, pomoc zbrojna wchodzi w życie natychmiast, jeśli zaś ze strony innego mocarstwa /więc np. Rosji/, oba rządy układające się porozumieją się, jakie kroki należy wspólnie przedsięwziąć;

b/ według układu /art. 6/, obie układające się strony zobowiązują się, że żadna umowa wzajemnej pomocy z innym państwem nie może uszczuplać wzajemnych obowiązków wynikających z tego układu między Wielką Brytanią a Polską, a protokół /art. 3/ objaśnia, że postanowienia takiego nowego układu /więc np. z Rosją/ muszą być tak ułożone, by ich wykonanie nigdy nie naruszyło ani suwerenności ani nie-tykalności obszaru drugiej układającej się strony /should at no time prejudice either the sovereignty or territorial inviolability of the other Contracting Party/.

Był to więc układ i trzeźwy i ścisły w swej ostrożności i stanowczości zarazem, gdyż

1/ w razie uderzenia Niemiec lub zagrożenia przez nie przewidywał odpór strony napadniętej i wtedy natychmiastową pomoc strony drugiej;

2/ w razie uderzenia Rosji zapewniał porozumienie się obu stron celem przedsięwzięcia wspólnych działań;

3/ w razie przyłączenia się Rosji do sojuszu przeciw Niemcom zapewniał nienaruszalność suwerenności i całości obszaru zarówno Polski jak Wielkiej Brytanii.

Układ, stosownie do biegu zdarzeń ówczesnych, uwzględniał wszelkie możliwości zupełnie jasno, mówiąc co trzeba w części jawnej a co trzeba w części tajnej.

*

Na co liczyła Wielka Brytania, zawierając ten układ z Polską, w czym się nie pomyliła?

Wielka Brytania liczyła na to, że Polska będzie pierwszym krajem, który najazdu Niemiec nie przyjmie biernie, lecz przeciwstawi mu opór zbrojny. Nie pomyliła się. Polska,

choć w wrześniu 1939 do uderzenia Niemiec od zachodu dołączyło się uderzenie Rosji od wschodu, broniła się zbrojnie przez miesiąc, a wysiłek jej rozumiano lepiej na wiosnę 1940 po szybkim załamaniu się oporu krajów zachodnioeuropejskich z Francją włącznie.

Wielka Brytania liczyła na to, że Polska, nawet po klęsce, przeciwstawi ciągły opór najeźdźcy. Nie pomyliła się. Polska, kraj najsrozszej dzikości niemieckiej, której ofiarą padło pięć milionów ludności, stała się mimo to nie tylko jedynym krajem europejskim bez t.zw. quislingów, ale także krajem najpotężniejszego w Europie ruchu podziemnego, który stworzył własny zarząd w oparciu na Rządzie Polskim przebywającym w Paryżu i następnie w Londynie, oraz własne tajne siły zbrojne, liczące kilkaset tysięcy żołnierzy, tak iż zdolny był do takich działań, jak powstanie w Warszawie trwające przeszło dwa miesiące od 1 sierpnia do 2 października 1944.

Wielka Brytania liczyła na to, że Polska, po zajęciu kraju przez wroga, zdoła wziąć udział w dalszej walce poza granicami kraju. Nie pomyliła się. Polskie siły zbrojne, stworzone przez Rząd Polski w Paryżu i następnie w Londynie, najliczniejsze ze wszystkich z lądu europejskiego, towarzyszyły siłom brytyjskim od najtrudniejszych chwil, w czasie bitwy o Wielką Brytanię, a męstwo lotników, marynarzy i żołnierzy polskich zapisało się w pamięci narodu brytyjskiego.

Nigdy nikt nie może i nie będzie mógł zarzucić Rządowi Brytyjskiemu, że wiążąc się sojuszem z Polską, pomylił się, doznał zawodu, nie otrzymał od Polski tego na co miał prawo liczyć.

Tak jest, stanowczo, po stronie Wielkiej Brytanii nie było ani źdźbła pomyłki.

*

A na co liczyła Polska w swym sojuszu z Wielką Brytanią?

Polska liczyła na to, że w razie napadu Niemiec i wojny Wielka Brytania udzieli jej natychmiast pomocy. Nie pomyliła się. 1 września 1939 zaczęła się wojna w Polsce, a 3 września 1939 Wielka Brytania, podobnie jak Francja, która również związana była z Polską umową, wypowiedziała Niemcom wojnę, wprawdzie z początku nieskuteczną w udzieleniu Polsce pomocy zbrojnej, ale następnie prowadzoną całym olbrzymim nakładem sił przez pięć i pół lat z górą aż do zwycięstwa.

Polska liczyła na to, że, w razie uderzenia Rosji, Wielka Brytania spełni przewidziane na ten przypadek zobowiązania, które nie polegały na natychmiastowej pomocy zbrojnej, lecz na porozumieniu się cele n wspólnego działania. Nie pomyliła się. Zadośćuczynienie przez Wielką Brytanię zobowiązaniom w tym zakresie rozłożyło się na dłuższy okres, gdyż po uderzeniu

Rosji 17 września 1939 na Polskę, już dotkniętą najazdem niemieckim, natychmiastowa pomoc zbrojna Wielkiej Brytanii przeciw Rosji uznana została za niemożliwą w zgodnym porozumieniu brytyjsko-polskim, jak to przewidywał protokół tajny, ale gdy Rosja, napadnięta z kolei przez Niemcy 22 czerwca 1941, przyłączyła się do sojuszu Narodów Sprzymierzonych przeciw Niemcom, nie tylko musiała unieważnić swe układy z Niemcami, w sprawie podziału Polski, w umowie z Polską z 30 lipca 1941, zawartej przy pośrednictwie brytyjskim, ale, co więcej, nota Rządu Jego Królewskiej Mości do Rządu Polskiego z tegoż dnia 30 lipca 1941 potwierdziła, że Rząd Jego Królewskiej Mości nie uznaje żadnych zmian terytorialnych dokonanych w Polsce od sierpnia 1939 /that H.M. Government do not recognise any territorial changes which have been effected in Poland since August 1939/, po czym Karta Atlantycka z 14 sierpnia 1941, podpisana 1 stycznia 1942 przez Wielką Brytanię, Polskę i Rosję w gronie Narodów Zjednoczonych, zapewniła im wszystkim w art. 2 nienaruszalność obszaru a w art. 3 nienarzacanie rządów; i wreszcie, gdy Wielka Brytania zawierała 26 maja 1942 układ wzajemnej pomocy z Rosją, wówczas, zupełnie zgodnie ze zobowiązaniami swymi wobec Polski w art. 3 protokołu 25 sierpnia 1939, oraz z Kartą Atlantycką, podtrzymała w art. 5 tego układu z Rosją nienaruszalność obszaru i nienarzacanie rządów /will act in accordance with the two principles of not seeking territorial aggrandisement for themselves and of non-interference in the internal affairs of other States/.

Aż do owej chwili, Wielka Brytania spełniła najściślej swe zobowiązania z układu z Polską, również w stosunkach z Rosją, dając świadectwo ustalonemu w dziejach pogładowi, że szanuje ona umowy i dotrzymuje słowa.

*

Lecz wykonanie układu sojuszniczego polsko-brytyjskiego z r. 1939 nie jest jeszcze skończone. W stosunku do Rosji ściśle zobowiązania, zawarte w art. 3 protokołu polsko-brytyjskiego z 25 sierpnia 1939, w nocie Rządu Jego Królewskiej Mości do Rządu Polskiego z 30 lipca 1941, w umowie Narodów Zjednoczonych z 1 stycznia 1942 przyjmującej zasady Karty Atlantyckiej, w art. 5 umowy brytyjsko-sowietkiej, z 26 maja 1942, nie są jeszcze wykonane. Co gorsza, właśnie w tym zakresie zjawiają się odchylenia, rzucające cień na dotrzymanie układu sojuszniczego Wielkiej Brytanii z Polską.

W umowie w Jałcie z 12 lutego 1945, ogłoszonej w oświadczeniu krymskim pp. Churchilla, Roosevelta i Stalina, przedstawiciel Wielkiej Brytanii wraz z przedstawicielem Stanów Zjednoczonych, które są również związane Kartą Atlantycką, zgodził się:

1/ na uznanie za słuszne zagarnięcia przez Rosję wschodniej

Polski według granicy Ribbentrop-Mołotow z r. 1939, odrzuconej wyraźnie przez Rząd Jego Królewskiej Mości w nocy Rządu Brytyjskiego do Rządu Polskiego z 30 lipca 1941;

2/ na pominięcie prawnego Rządu Polskiego, przez 5½ lat współpracującego z Narodami Zjednoczonymi, i zupełnie bezprawne tworzenie w Moskwie dla Polski narzuconego rządu.

Oba te postanowienia gwałcą p. 3 protokołu polsko-brytyjskiego z 25 sierpnia 1939, art. 2 i 3 Karty Atlantycznej, oraz art. 5 układu brytyjsko-rosyjskiego z 26 maja 1942.

Czyżby Polska pomyliła się, licząc na dotrzymanie umowy sojuszniczej z 25 sierpnia 1939?

*

5 lipca 1945, po dokonaniu w Moskwie 22 czerwca 1945 nieznacznej zmiany osadzonego w Polsce przez Rosję t.zw. rządu lubelskiego, nastąpiło uznanie go, 5 lipca 1945, przez Rządy Brytyjski i Amerykański.

Stanisław Stroński.

NA MARGINESIE WSPÓŁCZESNEJ HISTORIOGRAFII ANGIELSKIEJ

Kiedy można powiedzieć o literaturze historycznej jakiegoś kraju, że się rozwija twórczo i że spełnia swą rolę społeczną? Zdaje się, że za decydujące przyjdzie tu uznać dwa momenty. Pierwszy, to zasięg czytelniczy, fakt, że bieżąca twórczość historyczna dociera do mas czytelniczych. Po drugie, okoliczność, że historycy nie są zadowoleni ze swoich metod pracy, że szukają nowych dróg, dopracowują się nowych metod, przeprowadzają rewizje dotychczasowych osiągnięć. Brzmi to paradoksalnie, a mimo to jest oczywistą prawdą: oznaką zdrowia życia naukowego jest, iż panuje w nim t.zw. kryzys. Biada nauce zadowolonej ze swoich osiągnięć.

Oceniana z tego punktu widzenia nasza twórczość historyczna dwudziestolecia niepodległości wykazuje poważne braki. Metodologią nauk historycznych, zagadnieniami teoretycznymi interesowano się u nas żywiej w latach 1920–1930, kiedy powstała „Metodologia“ Handelsmana, pewne studia Bujaka, Tymienieckiego, Haleckiego i torująca nowe drogi francuska książka Czarnowskiego o kulcie św. Patryka. Później zainteresowania te osłabły.

Historycy nasi zamykali się naogół w kręgu zagadnień polskich. Niebezpieczeństwo takiego ścieśnienia zainteresowań podkreślał swego czasu Halecki. Gorzej, że i na tematy polskie historycy nasi mało dawali takich książek, które by były równocześnie poważnymi osiągnięciami naukowymi i atrak-

cyjną lekturą dla czytelnika nie-fachowca. Położenie poprawiło się nieco w ostatnich latach przed wojną, kiedy ukazało się trochę książek o szerszym zakresie, takich jak „Polska Jagiellonów“ Kolankowskiego, „Dzieje Polski nowożytnej“ Konopczyńskiego czy „Bismarck a Polska“ Józefa Feldmana. Naogół jednak historiografia nasza chorowała na przerost prac specjalnych, pisanych wyłącznie z myślą o czytelniku-fachowcu, i których autorzy staranie o artystyczną kompozycję i wyrazistość narracji traktowali jako coś poniżej godności szanującego się uczonego.

W tych warunkach czytelnik polski swój głód literatury historycznej zaspokajał w pewnej mierze przedrukami historyków sprzed tamtej wojny, głównie Askenazego i Kubali, przede wszystkim zaś przekładami, najczęściej różnych tandeciarzy w stylu Emila Ludwiga.

Rzecz prosta, normalny rozwój historycznej twórczości naukowej nie jest do pomyślenia bez naukowych wydań źródeł, wydawnictw specjalnych, pryczyneków. Im bardziej nauka się rozwija, tym tego typu twórczości naukowej musi być więcej. Ale obok niej — a raczej ponad nią — muszą być książki, które by obejmowały tematy na tyle rozległe i pisane były w sposób na tyle pociągający, by mogły zdobyć normalnego spożywcę produkcji literackiej na równi z powieścią, poezją czy essayem.

Co więcej, jeśli patrzymy na te rzeczy z pewnej perspektywy historycznej, widzimy, że właśnie książki, docierające do „szeregowego“ czytelnika, są w rozwoju nauki najbardziej ważne, najsilniej na niej zaciążyły. Fakt że Klio złożyła pocałunek na czole Fustel de Coulanges'a czy Burckhardta, wcale jeszcze nie dyskwalifikuje tych historyków jako uczonych. Przeciwnie, mimo że w ujęciach tego i tamtego wiele jest dziś rzeczy przestarzałych, książki ich są dziś czytane nie tylko dla zadowolenia estetycznego, jakie dają, ale i dlatego, że ich koncepcje działają zapładniająco, zmuszają do myślenia. Obu tych czynników: — rozmachu i głębi koncepcji oraz wartości stylowo-estetycznej — nie wolno od siebie oddzielać. Rozmach bowiem koncepcji, szerokość i świeżość ujęcia, to także elementy wrażenia *estetycznego*, elementy szerzej pojętego stylu.

I dlatego proponowany czasem podział pracy — żeby historyk znosił cegły, a literat władający piórem budował z nich konstrukcję — w praktyce okazuje się mało warty. Na to bowiem, aby móc czytelnikowi narzucić swoją świeżą i przekonującą wizję przeszłości, trzeba się z tą przeszłością gruntownie, źródłowo żyć. Dlatego książki na tematy historyczne literatów, przygodnie zahaczających o historię, są z reguły płytkie. Jako przykład może tu służyć jedna z najlepszych naszych książek tego typu — „Marysiénka

Sobieska“ Żeleńskiego /Boya/. Jest to książka, którą się czyta wyjątkowo lekko i przyjemnie. Poza tym Boy był zbyt żywą inteligencją, by jak wszędzie, tak i tu nie dać szeregu świeżych, zaskakujących ujęć. Ale przy tym wszystkim książka ta — jeśli ją oceniać jako studium historyczne — ma poważne braki. Mniejsza już o jej błędy faktyczne, które tak gorszyły fachowych recenzentów. Te właśnie błędy najłatwiej przy pomocy jakiegoś fachowca poprawić. Gorzej, że koncepcja procesów historycznych, jaka tkwi u jej założen, jest ciasna. Boy zainteresował się epoką Jana III ad hoc, dla Marysieńki, i dlatego podobnie jak Pascal historię Imperium Rzymskiego sprowadzał do kształtu nosa Kleopatry, tak i Boy szereg skomplikowanych procesów wewnętrznej i zagranicznej polityki Polski Jana III sprowadzał do — lepiej już nie precyzujemy do czego — Marysieńki.

*

Co właśnie szczególnie żywo rzuca się w oczy polskiemu czytelnikowi angielskiej literatury historycznej, to jej mocny i bezpośredni związek z ogólnym nurtem życia kulturalnego; to że jest w niej dużo książek dla wszystkich.

Dla przykładu wystarczy tu wymienić z produkcji ostatnich lat przedwojennych i lat wojennych trzy książki, z których każda jest swego rodzaju *wielkim* dziełem, wywołującym zainteresowanie, wykraczające daleko poza koła specjalistów.

Najśmielszą i najambitniejszą próbą krytycznej rewizji podstaw naukowego myślenia w dziedzinie historii jest w historiografii angielskiej wielkie dzieło prof. Arnolda Toynbee „A Study of History“. Wybuch wojny przerwał je w chwili, kiedy nie dobiegło jeszcze i połowy: dotychczas wyszło tylko pierwsze sześć tomów.

„A Study of History“, to nie mniej i nie więcej, tylko próba znalezienia pewnych praw, rządzących rozwojem historycznym ludzkości. Dlaczego w pewnych warunkach geograficznych i w pewnym momencie rodzą się cywilizacje, a w innych nie? Jakie są przyczyny warunkujące ich rozwój? Co sprawia, że cywilizacje zamierają? Ile typów cywilizacji możemy rozróżnić w dotychczasowym rozwoju historycznym? Jakie mamy typy kontaktów między cywilizacjami w przestrzeni i w czasie? Jaka jest rola wielkich ludzi w historii? — Oto kilka z pytań, na które książka ta stara się odpowiedzieć.

Krytykować poszczególne ujęcia pracy, mającej tak zuchwałe aspiracje, jest bardzo łatwo. Już w ogóle postawienie takich pytań, jak te, których przykłady przytoczono wyżej, jest zuchwalstwem. Znaki zapytania przy czytaniu tej książki same się cisną pod pióro. Czy np. Emile Ollivier może być zaliczony do czołowych, reprezentacyjnych osobistości? Czy nie jest dziwactwem wyliczanie Hamleta między bohaterami historycznymi? Albo — sięgając do spraw bardziej zasadniczego

znaczenia — czy naprawdę w dotychczasowej ewolucji historycznej powstało dziewiętnaście typów cywilizacji? Ni mniej ni więcej, tylko akurat dziewiętnaście? I stawiając sprawę ogólniej — czy wogóle takie ustalanie liczby cywilizacji ma jakiś sens? To też krytyk książki nie brakło. Bodaj że najostrzejsza wyszła spod pióra wielkiego historyka francuskiego, Lucien Febvre'a.

Ale nie brakło też i ocen entuzjastycznych. Nie byle kto, bo Gilbert Murray oświadczył, że książka ta zrewolucjonizowała całą naukę historii. Że po jej przeczytaniu do zjawisk historycznych przystępuje się z innym już nastawieniem, ocenia się je inaczej niż przedtem.

I po bliższym zastanowieniu się trzeba przyznać, że w ocenie Murraya jest trochę prawdy. Nawet czytelnik który by egzemplarz swej książki cały popstrzył znakami zapytania, musi przyznać, że jest to książka niezwykła. Prof. Toynbee jest człowiekiem o imponująco rozległych perspektywach i zasięgu wiedzy. Jest niesamowicie odcytany, wciągnął w zasięg swoich rozważań nawet cywilizacje tak egzotyczne, jak Majów czy Azteków, nie mówiąc o takich, bliższych już nam, jak arabska, „kręgu syryjskiego“ czy chińska. W tej ambicji jak najszerszych horyzontów, w zestawianiu faktów z różnych kręgów kulturalnych i ustalaniu praw historycznego rozwoju jest on bliski Spenglerowi. Ale nie ma w nim nic — jak u Spenglera — z rozwichrzonego literata. Jego erudycja robi wrażenie solidnej. Recenzenci atakowali sposób stawiania zagadnień i często rozwiązania, ale — o ile mi wiadomo — nie gruntowność wiedzy. I oto główna wartość książki: procesy z naszego kręgu kulturalnego, o którym najczęściej myślimy tak jakby poza nim świat się kończył, tutaj ujęte są w perspektywie niezwykle szerokiej. Książka na każdym kroku zmusza do spojrzenia na rzeczy, zdawałoby się znane, z nowego punktu widzenia, pokazuje, iż można je ujmować inaczej. I dlatego działa niezwykle ożywczo i świeżo. I dlatego też, mimo że pisana jest raczej po niemiecku, to znaczy ciężko, i że naszpikowana jest cytatami z co najmniej sześciu języków, pierwsze jej trzy tomy zdążyły się już pojawić w drugim wydaniu.

Nie jest to poczytność imponująca w porównaniu z powodzeniem „English Social History“ G. M. Trevelyan. Kiedy książka ta ukazała się po raz pierwszy w ub.r., jej mały — w stosunku do zapotrzebowania — nakład, spowodowany ograniczeniami przydziału papieru, wywołał nawet interpelację w Izbie Gmin. Z chwilą zaś gdy słowa te są pisane, „Spectator“ przynosi ogłoszenie wydawcy, zapowiadające, iż dalszych 60.000 egzemplarzy ukaze się na jesieni i że czytelnicy, chcący zapewnić sobie egzemplarz, powinni go już teraz zamówić u księgarza. A książka kosztuje z górą funta.

Jej autor, George Macaulay Trevelyan, pochodzi z bardzo

dostojnej dynastii historyków. Przyszedł na świat w r. 1876. W tym samym roku jego ojciec, George Otto Trevelyan, ogłosił swą wielką biografię Macaulaya i dla upamiętnienia tej zbieżności synowi swemu dał na drugie imię Macaulay. Do pracy zaś nad biografią Macaulaya zabrał się G. O. Trevelyan z obowiązku rodzinnego — Thomas Babington lord Macaulay był jego wujem. Książka o Macaulayu zyskała sobie szybko sławę jednego z arcydzieł angielskiej literatury historycznej, syn — nieco później — jednego z najznakomitszych angielskich historyków.

G. M. Trevelyan był już od dawna bardzo dobrym nazwiskiem na rynku wydawniczym. Jego „History of England“, od dwudziestu lat wydawana niezliczoną ilość razy, stała się po prostu klasycznym źródłem informacji o przeszłości Anglii dla wykształconego Anglika. Jego oczami inteligent angielski widzi dziś historię swego kraju. Poczytność zawdzięcza G. M. Trevelyan dwu przede wszystkim zaletom: wielkiemu temperamentowi pisarskiemu i zdolnościom świeżego stawiania zagadnień.

Zainteresowanie dla „English Social History“ ma jednak także i swoje swoiste powody. Ostatecznie „History of England“ szła tradycyjnym torem zarysów historycznych. Ten typ historii ma swoją starą tradycję i wyrobił sobie pewne wypróbowane schematy kompozycyjne. Z historią społeczną ma się rzecz inaczej. Potrzeba takiej historii jest odczuwana silnie i powszechnie. W dużej mierze szerokiemu uwzględnieniu życia szarego człowieka zawdzięcza swoją popularność w ub.w. „A Short History of the English People“ J. R. Greena. Jest rzeczą zupełnie naturalną, że w epoce samowiedzy politycznej mas, w epoce kiedy nawet rządy autorytatywne starają się z woli tych mas — w tej chwili mniejsza, jak preparowanej — czerpać legitymację swego istnienia, historyka nurtuje chęć zbadania przeszłości z perspektywy „szarego“ człowieka, prześledzenia, jakie warunki kształtowały życie tego „szarego“ człowieka w toku dziejów.

Dlatego zainteresowanie historią społeczną w kołach naukowych Europy i Ameryki jest duże i praca badawcza jest tutaj — a raczej była przed wojną — bardzo żywa. Ale mało jest tu książek, które by zdolne były tutaj zainteresować niefachowca. Bardzo łatwo wpaść tutaj w „suche“ wyliczenia, inwentaryzowanie faktów, statystyki. Historia tu nie wyrobiła sobie jeszcze literacko ciekawych sposobów ujęcia. Dalsza trudność polega na tym, że podczas gdy w historii wojen czy rozgrywek dyplomatycznych tkwi tak poważny bodziec zainteresowania, jak element akcji, dramatycznego napięcia, historia społeczna jest przeważnie w ujęciu statyczna, daje przekroje. Otóż wielki talent literacki i inwencja kompozycyjna G. M. Trevelyana polegają m.in. i na tym, że umie on

procesy społeczne ukazać na konkretnych przykładach i w dramatycznych skrótach. Cytat lepiej tu wyjaśni czytelnikowi, o co w tym wypadku idzie. Mowa jest o gentlemanie czasów elżbietańskich:

„Ludzie spodziewają się po nim, iż będzie dawał hojne napiwki i że nie będzie sprawdzał zbyt dokładnie rachunków, a za to pamiętał, że przywilejem gentlemiana jest dać się nabierać. Przy zachowaniu tych warunków, jego łatwi w obejściu, uprzejmi ziomkowie będą na jego widok sięgali do czapek, tytułowali go „Master“, choć za plecami będą mówili, że pamiętają jak jego ojciec, porządny człowiek, jeździł na jarmark okrakiem na workach ze zbożem. W ten sposób obie strony są zadowolone“.

Przykład G. M. Trevelyana jest ciekawy jeszcze i z innego względu. Jak wiadomo, nauka historii znajdowała się pod koniec XIX w. pod znakiem coraz dalej idącej specjalizacji. Ale w początkach b.w. zaczęła się przeciwko tej specjalizacji buntować. Najwybitniejsi, najbardziej reprezentatywni jej przedstawiciele, to właśnie ludzie, którzy nie są „specjalistami“ w ciasnym znaczeniu tego słowa. Nazwisko Crocego samo się tu ciśnie pod pióro. Ale Croce ze wspianą uniwersalnością swoich zainteresowań, to indywidualność zupełnie wyjątkowa. Nie brak jednak i innych przykładów. We Francji ruch ten dzięki Henri Berrowi znalazł nawet swoje ramy organizacyjne w „Centre de Synthèse“. We Włoszech przytoczyć tu można Ruffiniego, w Niemczech—Meineckego, w Rosji — Wipperera, w Rumunii — Iorgę.

Otóż G. M. Trevelyan z ludźmi tymi to ma wspólnego, że trudno by powiedzieć, od jakiej epoki jest „specjalistą“: ma on w swoim dorobku książki o Anglii epoki Wickliffa, Stuartów, królowej Anny, historię Anglii XIX w. i biografię Greya, znanego przede wszystkim jako minister spraw zagranicznych w momencie wybuchu pierwszej wojny światowej. Nie jest on też specjalistą wyłącznie od historii Anglii, pisał książki o o Garibaldi i o roku 1848 w Wenecji.

Tą rozległością zainteresowań bliski jest G. M. Trevelyanowi H. A. L. Fisher, zmarły z początkiem tej wojny autor innego znakomitego „best sellera“ historycznego: „History of Europe“, książki wielokrotnie przedrukowywanej i na wiele języków tłumaczonej. Zasięg zainteresowań Fishera był aż niepokojąco rozległy. Wśród drobnych prac jego jest m.in. szkic, pogadanka radiowa, o Wirgiliuszu i studium o Paul Valérym. Znany jest on głównie jako ceniony autor książek o Napoleonie i bonapartyzmie, ale w rozległej bibliografii jego prac znaleźć można także książkę o Anglii epoki Tudorów.

„History of Europe“ pobiła wszystkie te książki popularnością. Od różnych kompilacyjnych zarysów historii wyróżnia ją nie tylko to, że wyszła spod pióra człowieka, który był

bogata i subtelną indywidualnością, ale także i to, że jest ona wyznaniem wiary liberała, który niejako próbował wytrzymałości swojej doktryny liberalizmu poprzez ciąg dziejów Europy. To właśnie daje jej jednolitość ujęcia i piętno osobiste.

Przeglądając w katalogu British Museum spis ogłoszonych przez Fishera książek, łatwo pomyśleć, że był to człowiek, któremu całe życie przeszło w bibliotekach i archiwach. Tymczasem kiedy się sięga do jego autobiografii, przy pracy, nad którą zastała go śmierć i która wyszła p.t. „An Unfinished Autobiography“, czytelnik przekonywa się, że Fisher swoją działalność historyka traktował jako coś drugoplanowego, za główne zaś opus swego życia uważał „Education Act“, który przygotowywał jako minister oświaty w gabinecie wojennym Lloyd'a George'a. Przy czytaniu tej autobiografii trudno się oprzeć wrażeniu, że tylko klęsce liberałów w r. 1922, klęsce, z której partia liberalna nigdy się już potem więcej nie podniosła, zawdzięczać należy jego owocną działalność naukową.

Jako przykład polityka, który w latach czy przymusowej bezczynności czy po wycofaniu się z życia politycznego poświęca się działalności naukowej i wyrasta nie na dyletanta, parającego się historią, ale na pierwszorzędny historyka, Fisher jest zjawiskiem bardzo specyficznym angielskim i wcale w życiu angielskim częstym. Oczywiście, od razu naprasza się nazwisko Winstona Churchilla, autora wielotomowej biografii Malborough. Ale nam idzie tu o ludzi, którzy do potomności przeszli *przede wszystkim* jako wielcy historycy /innych nazwisk niż pierwszoplanowe nie ma tu sensu wymieniać/, wolno zaś wątpić, czy wśród tytułów chwały Churchilla tytuł historyka wysunie się na czoło.

Takim za to historykiem i działaczem politycznym był wymierzony już wyżej G. O. Trevelyan. Poza biografią Macaulaya, do książek jego, które stały się żelaznym kapitałem historiografii angielskiej, należy biografia Foxa i historia wojny Stanów Zjednoczonych o niepodległość /„The American Revolution“/, która przez swe pojednawcze traktowanie wojny sama była pewnym aktem politycznym. G. O. Trevelyan był równocześnie czynnym politykiem, kilkakrotnym ministrem, m. in. „Chief Secretary“ dla Irlandii. Syn, gdy pisał jego biografię, podkreślał, iż „Macaulay“ i „Fox“ były owocami sześciu lat opozycji; „American Revolution“ — ostatecznego wycofania się z polityki.

„Chief Secretary“ do spraw Irlandii, a później ministrem do spraw Indii był inny wybitny historyk XIX w., liberał John Morley, autor biografii Cromwella, Cobdena, Burkego i Gladstone'a.

Wreszcie również „Chief Secretary“ do spraw Irlandii /wygląda to po trosze tak, jakby premierzy brytyjscy XIX w.

traktowali administrację Irlandii jako rodzaj seminarium historycznego dla tych spośród ministrów, którzy mieli zainteresowania historyczne/ był James Bryce, też jedna z czołowych postaci galerii liberałów angielskich drugiej połowy XIX i początków XX w. Przed pierwszą wojną światową był on przez kilka lat ambasadorem w Stanach Zjednoczonych. Nie był to banalny ambasador. Umiał sobie na tym stanowisku zjednać wyjątkowy mir i uznanie Amerykanów. Żaden Anglik tak jak właśnie Bryce nie przyczynił się do tego, że Stany Zjednoczone wzięły udział w wojnie po stronie Wielkiej Brytanii.

Bryce jest autorem przede wszystkim dwóch znakomitych książek: napisanej w latach młodości historii Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego od wczesnego średniowiecza do zlikwidowania przez Napoleona /„The Holy Roman Empire“/ oraz napisanej już w późniejszym wieku książki o Stanach Zjednoczonych /„The American Commonwealth“/. Kto by chciał jednak zdać sobie sprawę z klasy pisarskiej Bryce'a, ten lepiej zrobi, jeśli znajomość z nim rozpocznie od lektury zawartej w tomie szkiców biograficznych „Studies in Contemporary Biography“ charakterystyki Gladstone'a. Mało jest chyba w światowej literaturze historycznej biografii, które by mogły się równać z tym kilkuarkuszowym szkicem pełnią, subtelną charakterystyką, precyzją w cieniowaniu i — wielką mądrością życiową*.

Przytoczone tu trochę pêle-mêle przykłady wybitnych historyków angielskich wyjaśniają w pewnej mierze, gdzie tkwi tajemnica bliskich związków historiografii angielskiej z szeroką masą czytelnictwem. Jedną z przyczyn jest fakt, że wśród pierwszoplanowych historyków jest sporo ludzi, którzy politykę znali nie tylko z archiwów i którzy mocno tkwili we współczesnym sobie życiu politycznym. Drugą — jest rozległość zainteresowań poszczególnych historyków.

Historycy angielscy są dobrze świadomi tego powiązania swej specjalności z życiem. G. M. Trevelyan podnosi, jak dobrze się stało, że ojciec jego zabrał się do pisania biografii Macaulaya nie zaraz po jego śmierci, ale znacznie później,

* Wyjątkowo interesująca jest też zawarta w tymże tomie Bryce'a charakterystyka Disraeliego. Dla Bryce'a-liberała Disraeli był przeciwnikiem politycznym nr 1, i to takim przeciwnikiem, wobec którego szczególnie trudno o obiektywizm, bo zwycięskim. Charakterystyka Disraeliego pióra Bryce'a jest arcyciekawym przykładem dramatycznej walki historyka z politykiem o obiektywizm /a trzeba dodać jeszcze, że Bryce był człowiekiem o wyjątkowo wysokim poziomie etycznym i silnie rozwiniętym zmyśle tego co jest gentlemanią w walce politycznej/. Walka skończyła się klęską historyka: mimo usilne starania o obiektywizm wyraźnie czuje się, jak serdecznie Bryce Disraeliego nie lubił. Pikanterii dodaje tej biografii i ta okoliczność, że Bryce wojujący toryzm i imperiaлизм Disraeliego wywodzi z jego pochodzenia żydowskiego.

kiedy miał już duży zapas doświadczenia życiowego, niedawno zaś zmarły historyk oxfordzki, archeolog i filozof R. G. Collingwood w swej /łatwo dostępnej, bo przedrukowanej w serii „Pelicanów“/ „Autobiografii“, historii bardzo gruntownie przemyślanego żywota, idzie jeszcze dalej: wysuwa hasło nauki jako „broni“ w walce ideologicznej. Słowo jest niebezpieczne i nasuwa przykre skojarzenia. O nauce jako narzędziu walki mówi się w każdym ustroju totalistycznym. Najgłośniej w Z.S.S.R. Miarodajny dla pierwszych piętnastu lat historiografii sowieckiej Pokrowskij szczyił się tym hasłem jako jedną z podstawowych zdobyczy marxowskiej historiografii. Pokrowskij od trzynastu lat już nie żyje, naukę jego dawno już bolszewicy wyrzucili — żeby się posłużyć zwrotem ze słownictwa jego i jego uczniów — na śmietnik historii, ale ta właśnie zasada przeżyła go, i dzisiaj Klio sowiecka sprzedaje swoje wdzięki na każdym zakręcie rosyjskiej polityki.

Ale si duo faciunt idem... W państwach totalistycznych związek nauki z życiem reguluje policjant, w ustrojach demokratycznych proces ten dokonywa się samorzutnie: decyduje tu stopień związania się ze współczesnym życiem historyka i reakcja na jego dzieło masy czytelniczej.

Wiktor Weintraub.

WYSPA NA WYSPIE

Karol w wysokich butach gumowych i z podniesionym kołnierzem od kurtki człapał po błocie w ślad za Daphne od chlewu do chlewu.

— Chodźmy do domu, — namawiał, — co tu masz właściwie więcej do roboty.

— Mnóstwo ; nie bądź taki niecierpliwy.

Płaską łopatką studziła odwar kartoflany, odgarniając jednocześnie włosy z czoła, które para skręcała w drobne loczki. Wymieszawszy należycie, chwyciła ceber muskularnymi dłońmi, uniosła bez śladu wysiłku i wylała zawartość do koryta. Dwie czarno-białe maciory z Yorkshire, obsypane żarłocznym potomstwem, denerwowały się w dwóch zagrodach. Uwolniła je od rodzinnych napaści i samotne puściła przed koryto. Dopiero kiedy ekstaza chrząkań i mlaskań napełniła chlew, wyprostowała się i zebrała spinką rozsypane włosy. Mimo brechesów, swetra i koszuli z krawatem, odpowiadała imieniu nimfy, z tą wszakże poprawką, że postać jej nadawała się raczej do przemiany w cyprys, niż w krępe drzewko laurowe.

Długonoga, wąska w biodrach, miała wielkie oczy koloru rzek w dzień bezsłoneczny, szeroko rozstawione, usta okrągłe, jak u panien Botticellego, owal twarzy bezkostny, nos nikły i mnóstwo brązowych włosów. Istota o strukturze fizycznej niemal bezbłędnej, wydawała się tworem samowystarczalnym, nie wymagającym koordynacji z żadnymi tajemniczymi siłami, a także tworem nie podlegającym zepsuciu.

— Czy ty się nigdy nie męczysz? — pytał Karol.

— Dlaczego mam się męczyć?

— Żeby choć raz w życiu mieć czerwony nos!

— Poczekaj aż będę miała katar.

Przychodził katar — nos pozostawał porcelanowo biały. Oczywiście o kłóceniu się z Daphne nie mogło być mowy. Złośliwości ześlizgiwały się z niej, nie budząc echa.

Właścicielem farmy był Monsieur Budič, kupiec jugosłowiański, zaangażowany przed wojną w wielkie interesy z Anglią, obecnie odcięty od kraju i od źródeł normalnego zarobku, bawiący się w agronoma pod Oxfordem. Na farmie przeważnie pracowali Rumuni, którym obrzydło kelnerstwo i zachodnie maniery, oraz paru Serbów, wyreklamowanych do pracy na roli z jego dawnych londyńskich biur. Daphne, jedyna land girl w całym zespole, uważała swój przydział do tego właśnie gospodarstwa za jeden więcej dowód, że los chętnie daje napiwki tym, których usługi są niewątpliwie „konstruktywne“.

Daphne była córką rzeźnika i nauczycielki w dużym mieście portowym. Siostry jej powychodziły za mąż za urzędników, brat był marynarzem. Żadnego z tych zajęć rodzinnych nie uważała za „konstruktywne“. Rzeźnictwo raziło jej powonienie, mimo że nie raził go nawóz. „Za dużo w tym flaków i pośrednictwa — mówiła. — Jatki powinny być automatyczne, komunalne i daleko za miastem“. Nauczycielstwo takie, jak uprawiała jej matka, „niszczyło w dzieciach miłość przyrody i człowieka“. Biurokrację uważała za wroga społeczeństwa nr 1. /Jatki w przyszłości miały być administrowane przez bezpłatnych delegatów gmin./ Przeciw marynarce nie miałyby nic, gdyby okrętów używano wyłącznie do celów pokojowych. W dniu kiedy ogłoszono mobilizację kobiet, oświadczyła, że żadna siła nie skłoni jej do pomagania wojsku chociażby przez pracę w szpitalach. Żadna również do wysługiwania się biurowym „mandarynom“.

— Nie zapominaj, że otrzymałaś stypendium na studia uniwersyteckie — monitowała ją matka. — Skoro jesteś pacyfistką, czy czymś w tym rodzaju, zadeklaruj teraz po maturze, że masz „sprzeciw sumienia“, a pozwolą ci dalej się uczyć.

Potrząsnęła głową.

— Sprzeciw sumienia mam nie po maturze, tylko odkąd zaczęłam patrzeć i myśleć. To nie byłoby fair.

Zapisała się do Land Army.

Na pierwszej farmie, w jednym z północnych hrabstw, traktowano ją opryskliwie i nie miała gdzie się myć. Pan domu w randze sierżanta piechoty wojował za morzem, gospodarkę prowadził jego ojciec i żona. Kobieta była chorowita, co źle ją usposabiało do Daphne, stary nie wierzył, żeby dziewczyna w spodniach, paląca papierosy, mogła obchodzić się bez kradzieży, łąził więc za nią wszędzie i chował pod klucz nawet części zamienne traktoru. Troje wnuków dostawało w skórę regularnie w soboty, przy czym nie wolno im było krzyczeć, bo nie znosił hałasu. W tym szarym obejściu kamiennym, którego jedyną ozdobę stanowiła żółta papuga, byłaby jednak Daphne przetrwała wojnę, tak bardzo lubiła samotne godziny na traktorze, z wilgotnym wiatrem w oczy i z ruchliwymi plamami światła na wzgórzach. Ale stary znienawidził ją za to, że nic jej nie mógł zarzucić, i pod pretekstem ciężkiej roboty, wystarał się o jeńców.

Następny pobyt wiejski zapowiadał się idealnie. Farma leżała w pięknej okolicy, dom miał pełny komfort, land girl zatrudniano tylko przy centryfugach i kurnikach, właściciele — bezdzietna para w średnim wieku — prenumerowali dużo magazynów, jedzenie było świetne. Pan, zagazowany w poprzedniej wojnie, często wyjeżdżał do miasta po sprawunki; wracał objuczony paczkami, szerząc zapach brandy i niewymyślne dowcipy. Pani wkrótce przystąpiła do zwierzeń: pan brnął w długi. Tylko patrzeć jak farma stanie się ciężarem, trzeba będzie ją sprzedać i żyć z inwalidzkiej renty. Ponieważ pan bez golfa i brandy nie rozumiał istnienia, a o fach cywilny, będąc oficerem gwardii, nigdy się nie zatroszczył, przyszłość wyglądała ponuro. Wtajemniczywszy Daphne w sytuację, pani wycofała się, zostawiając ją sam na sam z rozweselonym bon vivantem. Pan puszczał z fajki coraz gęstsze kłęby dymu, usiłując patrzeć jak najmniej na górną część swetra młodej pomocnicy. Daphne uznała moment za odpowiedni i wyłożyła mu swoją teorię o konstruktywnych zajęciach.

— How very interesting — rozczulił się, przy czym wzrok jego spoczywał na symetrycznych wypukłościach.

Takich wieczorów było kilka, i Daphne z niewyczerpaną słodyczą głosiła wiarę w odrodzenie przez kontakt z przyrodą. Krzyknęła dopiero kiedy inwalida, siedząc na poręczy jej fotela i coraz ciszej mrużąc „how interesting“, położył obie ręce na jej piersiach. Nikt wszakże nie przybiegł na ratunek. Nazajutrz, trochę posiniaczona, ale ciągle „intacta“, postanowiła rozmówić się z nim w kancelarii.

— Oh, darling, czyż trzeba być aż tak wymowną? — zapytał. — Przecież ta rzecz musi wcześniej czy później się zdarzyć.

Jeszcze i wtenczas nie zrezygnowała z porozumienia.

— Ależ pan jest dla mnie za stary — wytłumaczyła mu z urazą.

— Czy tak? A więc prawdopodobnie tak — pośpieszył się zgodzić. — Ja od początku myślałem, że nasza współpraca nie ułoży się dobrze.

Monsieur Budič był zamożny i dni trawił w Londynie na popieraniu króla Piotra. Farma przy koniunkturze wojennej, sprytnie nakręconej przez właściciela, prosperowała sama. Madame była Greczynką, córką dyplomaty. Daphne na trzeci dzień po przyjeździe została przez nią narysowana raz kredką, raz węglem i nazwana „najdroższą przyjaciółką“. Starsza córka państwa przygotowywała się w St. Hilda's College do egzaminu P.P.E. /polityka, filozofia, ekonomia/. Młodsza miała koło siebie sztab guwernantek; ku wielkiemu żalowi matki każdą wolną chwilę, zamiast szkicować, spędzała na rowerze. Syn, o którym mówiło się ze łzami w oczach, walczył pod Michajłowicem. W River Parku Daphne powzięła podejrzenie, że sens życia może nie zawsze pokrywa się z „konstruktywnością“.

W domu Budičów przedmioty niepotrzebne całkowicie przesłaniały potrzebne. Czas zaś był elementem nieujarzmionym, rozlewającym się poza krawędzie pór i godzin, żywiołem, który albo ustępował kompletnej nirwanie, albo szalał jak morze i przerażał ludzi niszczycielską potęgą. Rozmowy nie prowadziły tutaj do konkretnych celów, nie zaczynały się i nie kończyły w sposób wyraźny, nie podlegały prawu pytań i odpowiedzi. Uczucia nie stanowiły niczyjego sekretu. Do wyrażania ich używano ciągle mnóstwa różnorodnych, zupełnie nieoczekiwanych i bardzo głośnych słów, przy czym twarze i ciała prowadziły jakąś skomplikowaną grę, która czasami dodawała słowom wielkiego blasku, ale często przeczyła im całkowicie.

Mimo wszystko powyższe, Daphne nie czuła się przygnębiona. Przeciwnie: nabrała poczucia własnej ważności, gdyż każda prawie minuta przynosiła zagadnienia, które należało rozwiązywać po raz pierwszy. Dawniej myślała o sobie mało i źle. Nauki w szkołach, za łatwe, nie interesowały jej, nie ceniła więc swoich tryumfów szkolnych. Urodę swoją знаła, ale uważała za ciężar. „Miłość nawet wzajemna nie sprzyja współpracy — rozważała. — Ludzie, jeżeli się kochają, tym bardziej chcą sobie wzajemnie imponować, albo wzbudzać zazdrość, albo zadawać sobie cierpienia, żeby wypróbować ile ta druga osoba potrafi znieść dla miłości. Czyż to jest konstruktywne? Gdybym była brzydka, prędzej bym znalazła rozsądnego partnera. Szkoda, że zamiast tych nóg i oczu, nie mam stu tysięcy funtów“.

Dopiero w River Parku okazało się, że bez Daphne mnóstwo korzystnych rzeczy musiałoby pójść na marne. Np. wylęgarnia

kaczek, do której nikt nie miał cierpliwości. Albo morwy w żywopłocie, o których zapomniano. Albo wojna z mszycami. Ku zdumieniu Daphne, Madame Budič posyłała ją na rozmówki do ogrodnika, bardzo ponurego Serba.

— Jakże ja jemu sprawę wytłumaczę, kiedy on nie rozumie po angielsku?

— Ach, ciebie on na pewno zrozumie. Ty jesteś taka ładna i zresztą jesteś Angielką.

Trzeba było tych obcych ludzi, nie dbających o odwieczne porządki, mówiących co ślina na język przyniesie, żeby Daphne w dwudziestym trzecim roku życia poznała, że być ładną i być Angielką przydaje się do codziennej „konstrukcji“. Ponieważ przy Daphne kaczęta przestały zdychać, wszyscy na farmie orzekli: „Tylko Angielce mogło to przyjść na myśl, że w kaczarni są przeciągi“. Daniło nie rozumiał, jeżeli Monsieur Budič po serbsku rozkazywał mu kosić trawnik. Natomiast odgadywał ten sam rozkaz, zawarty w niepojętych cudzoziemskich słowach. Dlaczego? „Bo on się ciebie wstydzi“ — stwierdzała Madame Budič.

Karol był kolegą oxfordzkim Zdenki. Którejś soboty jesienią przyjechał tu na week-end, jeszcze z czarną łatką na oku po ostatnim wypadku lotniczym i jeszcze w mundurze. Zdenka oprowadzała go po farmie, wyglądał zmęczony. Daphne zainteresowała się jego odznaczeniami.

— On jest Polak — powiedziała Zdenka. — Ma za sobą 47 lotów bojowych. Dali mu roczny urlop i stypendium British Council na dokończenie studiów. Będzie robił War Degree na tym samym wydziale, co ja.

Szybko stał się jednym ze stałych gości week-endowych.

*

— Zostaw już te prosiaki — naglił teraz — Zaraz będzie lunch.

Zapędziła więc maciory do zagród, i poszli w stronę domu. Zabudowania gospodarcze były w większości prowizoryczne, gdyż Budič wprowadził wiele nowych działań najtańszym sposobem. Także i czystość obejścia nie była wzorowa wobec szczupłego personelu. Park zaś miał partie dzikie z wysokimi, nigdy nie strzyżonymi trawami, gdzie gorzki zapach ziół stał w powietrzu nawet w dni zimowe. Głosy bydła i ptaków, przytłumione mgłą, zdawały się napływać z bardzo daleka, może aż z polskich wiosek. Niewielki manor-house w stylu Tudorów, obrośnięty bluszczem, ginał wpośród wysokich lip i — nie będąc dworem typowym — mógłby przecież doskonale świadczyć o zagranicznych gustach jakiegoś nadwiślańskiego dziedzica. Opodal ciągnęły się niskie, bielone oficyny, żywo przypominające czworaki. Mieszkała w nich ciągle jeszcze dość liczna służba Budičów — owi Rumuni i Serbowie, zatrudnieni pół na pół w polu i „pałacu“. Ogorzali czarnococy

mężczyźni, ubrani raz w śnieżnobiałe krochmalone kurteczki, raz w robocze łachy, uwijali się po ścieżkach; rankiem z tacami, później z łopatami. Przez uchylone drzwi oficyn widać było kobiety w chustkach zawiązanych pod brodę, krzątające się koło kuchni albo w sieni prasujące dworskie koronki i jedwabie. Najzabawniejsze wszakże były dzieci: z za każdego niemal krzaka wysuwała się figurka wysokości Tomcia Palucha, przyobleczona w uroczyste szaty. Madame Budič gorąco popierała folklor. Stąd kostiumy bośniackie, greckie, rumuńskie — w całej gamie wariantów i nieuniknionych modernizacji — na tych żywych lalkach. Ledwie mała Ileana w czarno haftowanej białej koszuli do pięt i w długim baranym kożuchu wybiegła na trawnik, Daphne stanęła jak wryta, szukając w myśli, o co zapytać to niezwykle dziecko. Ileana zatrzymała się także.

— Ja chcę winogron ze szklarni — oświadczyła.

— Of course, darling, — zapewniła skwapliwie land girl, — przyjdź tam po lunchu, dam ci ładne gronko.

Karol roześmiał się:

— Wątpię, czy to jest konstruktywna umowa.

Rumieniec Daphne sięgnął włosów.

Weszli do hallu, który byłby mroczny gdyby nie wesołe ceramiki bałkańskie, nie skrzynie malowane w kwiaty i nie woskowana posadzka. Potrząsnąwszy grzywą, Daphne szybko pobiegła na piętro. Karol skierował się do salonu.

Po chwili zagłębiony w fotel, słuchając tykania niezliczonych antycznych zegarów na biurkach i konsolach, zapadł w półsen. Od czasu Rudzina żadne wnętrze nie wprowadzało go w taki błogostan. Tylko że w Rudzinie rozkosz wynikała z radości fizycznej, ustokrotnionej przez kroki przyjaciół w oddali, przez zmęczenie wodą i słońcem, przez głos Zuzi za ścianą, przez nadzieję na jeszcze weselsze jutro i przez niezachwianą pewność, że główny los został już wygrany, skoro wszystko jest tak jak jest.

W River Parku życie płynęło po „tamtej stronie“. Po zawaleniu się owego „wszystkiego“, które we wrześniu 1939 r. okazało się niczym. Kroki, głosy, Wisła, nadzieje — tamto „wszystko“ znikło. Ale i późniejszy tragiczny chaos: Francja, Anglia, 47 lotów bojowych, to także w Riverside nie istniało. Po czterech latach wojny, w „drawing roomie“ Budičów, Karol, choć ciągle jeszcze nieprawdziwy, ciągle wcielony w postać okolicznościową nie podobną do rudzińskiego Karolka, odnajdywał jakieś smaki, jakieś skurcze serca, jakieś przebłyśki świadomości, które przypominały „stare“ szczęście. Wracało ono płochliwymi smugami, kiedy była cisza, polana trzaskały na kominku, blask zapalał się i nikił na wielkiej srebrnej ikonie, palisandry wydawały z siebie staroświecki i nieśmiertelny zapaszek dobrej politory.

Z głębi zaś domu dochodziły głosy obce, a przecież bez reszty wiadome: wysokie, nerwowe, błyskotliwe i efemeryczne głosy, którym „timbre“ u użyczyła historia Europy wschodniej. Nigdy dawniej Karol nie myślał tak o ludzkich głosach. Ale teraz po „wszystkim“ w tej właśnie formie świat do niego przychodził — nie przez zmysły i mięśnie, tylko przez mózg i wspomnienia.

— Drzemiesz? — zapytała Madame Budič, wchodząc.

Uśmiechnęła się czarnymi oczami. Była Karolowi wdzięczna, że przyłgnąwszy do rodziny, nie okazał się ani gburem, ani nudziarzem, ani konkurentem do córki. Nade wszystko zaś, że przy innych gościach — rzadszych i ważniejszych — podnosił dekoracyjność domu.

— Nie. Dobrze mi jest.

— Biedaczek! Tęsknisz pewnie... Powinieneś więcej mówić, być szerszy! Pewnie też te lotnicze koszmary jeszcze cię przesładują. Jak oko?

— Dziękuję, każą mi nosić monokl. To się doskonale składa, bo w Magdalen College wilde'owskie szyki ciągle jeszcze są w modzie.

— Ach, prawda, że jesteś w Magdalen... No, to czegoś ty taki milczący? Oni się tam snobują na kontynent.

Karol nie wiedział co odpowiedzieć. W Madame Budič było coś, co przypominało Zofię, a przez to rzeczy, o których mówić nie sposób. Na szczęście Zdenka wkroczyła, z nosem w książce, zagryzając jabłko.

— Spójrz na tę lunaticzkę! — krzyknęła Madame. — Przecież ona zeza dostanie od takiego czytania we śnie...

Zdenka nie oderwała wzroku od stronicy.

— Zeza dostaje się od zagłądania w cudze listy — mruknęła.

— Cudze listy! Przede wszystkim to było zaproszenie. Po drugie, jestem odpowiedzialna za twoje stosunki.

Zaczynała się jedna z kłótni, które stanowiły wdzięk farmy i nie przerażały nikogo oprócz Daphne. Niki, siostrzeniec Madame, a zarazem sekretarz jej męża, nadchodził, z daleka już uciszając:

— Calmez-vous, mes très belles! shut up, darlings, lordowie podstuchują.

— Jacy lordowie? — przeraziła się Madame.

— Lord Kester między innymi.

— Kto? Ach, Tony! Jak może Tony, taki mądry chłopiec, przyjaźnić się z takim idiotą.

Przyjaciel Nika, Tony Kester, oblał się rumieńcem. Jego uczucia były tu nieustannie deptane, jednak nieprzeparta siła ciągnęła go do Riverside znowu i znowu...

— Gdzie Daphne? Czy Piotr wraca dziś z Londynu?

Piotr Budič nie wracał, natomiast Daphne, pięknie uczesana, siedziała tam gdzie zawsze, na kanapce pod oknem.

— Chodzisz jak nimfa, nigdy cię nie słysząc.
I wyniesiono się do jadalni.

*

Po lunchu przy kawie, Zdenka wszczęła namiętą dyskusję z Tonym o Jane Austen.

— Jakże chcecie wygrać pokój, — piorunowała, — jeśli wasi profesorowie apostołują nadal wśród młodzieży kult tej sielankowej mieszczki, której horyzont myślowy nie wybiegał poza matrymonialne intryżki i przypadłości żołądkowe starszych panów?! Na Boga! Przecież kobiety w epoce romantycznej miały coś więcej do roboty, niż wychodzić za mąż i pielęgnować kretyńskich tatusiów! Przecież wtenczas, jak i teraz, świat trząsł się w posiadach! Rewolucje, dyktatury, niewola mas, głód nowego porządku — wszystko to było wtenczas i jest dzisiaj. Tymczasem „Emma“ i „Mansfield Park“ dotąd nie przestają kwitnąć.

— River Park także kwitnie, stwierdzam to z pociechą. . .

— Więc co z tego? Riverside jest wyspą na wyspie! Jest infiltracją kontynentu! Jest skrawkiem rzeczywistości w „Krainie Czarów“! I jeżeli kwitnie, to wbrew „Emmie“ a nie dzięki niej.

— Nie jestem tak bardzo pewien, że wbrew niej, chociaż wcale nie lubię Jane Austen. Jako katolikowi brakuje mi w „Mansfield Park“ powiewu mistycyzmu i bardziej zaczepnej postawy wobec zła. Ale przyznaję, że humor, pogoda, trzeźwość protestanckiej Angielki przyczyniły się w tym kraju do stworzenia klimatu, który umożliwia w nim życie cudzoziemcom, kiedy w ich własnych krajach szerzy się zniszczenie. . .

— Ależ nie szerzyłoby się zniszczenie, gdyby Anglicy byli właśnie mniej pogodni! Żeby umieli przewidywać katastrofy, żeby widzieli dalej swego nosa!

— Ach, nikt bardziej nie boleje nad angielską małodusznością, niż Anglicy, i nikt drożej za nią nie płaci. . .

— O, nie! Serbia drożej płaci! I Grecja! I Polska! Karolu, czemu milczysz? Gdyby Jovan tu był, on by wam powiedział, jak to cyniczny humorek Jane Austen przyczynił się do złagodzenia klimatu w Bełgradzie!

— Zostaw Jovana w spokoju — wtrąciła się Madame Budič.
— On nie po to codziennie śmierci w oczy zagląda, żebyś ty miała argumenty do akademickich dyskusji.

— Tut-tut! Quelles détestables manières — zganiał Niki.
— Nie kłóćcie się, kto drożej płaci. Obawiam się, że prosięta Daphne, naszej uroczej pacyfistki, płacą najdrożej, bo Anglicy wskutek wojny zaczęli masami jadać kotlety wieprzowe. A gdy ta zabawa dłużej potrwa, zaczną płacić nawet robaczki świętojańskie. Czytałem dziś, że Niemcy wymyślili bomby rakietowe*, którymi będą strzelali na oślep do wszystkich

* Rzecz dzieje się w r. 1943.

krzaczków na tej wyspie. Ja jeden nic nie zapłacę, bo ja jeden mam odwagę uciekania i spod noża i spod bomb.

— A jednak dziwię się, — Tony z trudem odrywał wzrok od dowcipnego Niki, — że Karol nie zabiera głosu w tej rozmowie. Polacy są specjalistami od romantyczności.

Karol drgnął. Mimo że słyszał każde słowo, sens zdań nie dotykał go bezpośrednio. Od czasu ostatniej kraksy nad Francją, gęsta zasłona dzieliła go od świata. Ludzie naokoło śpieszyli, buchali namiętnością, umierali albo sennie odrabiali codzienne zajęcia — wiedział o nich, ale nie poczuwał się do współodpowiedzialności. Do czego się poczuwał, to do żalu za Michałem, do kłótni z Monsieur Costot i do wdzięczności dla Susanne. Michał pierwszy stwierdził, że smar wycieka, i ostatni wyskoczył. Gdy tylko wyszli spod obstrzału, zaczął coś mówić; zdążył ledwie tyle: „Słuchaj, kiedy wrócimy do Polski“. . . . Potem już smar. I cała uwaga na silnikach i na śmigłach. Potem skakanie. Co on chciał powiedzieć? Po zrzućeniu bomb nikt nie rozprawia na sentymentalne tematy. Gdzie Michał jest? Żyw? Umarły? Dlaczego mimo wszystko znali się tak mało, że nie sposób zgadnąć, co miało według niego nastąpić, „kiedy wrócimy do Polski“. A Monsieur Costot nie chciał wziąć go na ciężarówkę. „Niemcy w miasteczku! — krzyczał — Niemcy w miasteczku!“ — „Ale w cywilnym ubraniu nie muszą mnie zaraz zauważyć“. — „Dosyć mam własnej biedy, proszę sobie iść dalej“. — „Nie mogę wlec się tak powoli. Stracę oko. Co wart pilot bez oka?“ — „Nie obchodzą mnie angielscy piloci“. — „Jestem Polak“. — „To gorzej; Niemcy na Polaków są bardziej jeszcze zawzięci“. — „Ale pan nie jest Niemcem, co? Jest pan Niemcem?“. To pytanie — beznadziejne, maniackie — męczyło Karola we śnie i na jawie. Budził się w swoim „bed-room“ie w Magdalen, patrzył na księżyc i zgrzytał zębami. „Co, jest pan Niemcem? Pan nie jest Niemcem!“ — I czuł krew w ustach, zimno, huk w czaszce, samotność bez granic. Za to Susanne była inna. Susanne i jej brat Ernest byli inni. Ukryli go, leczyli. W pacy od węgla przewieźli pod hiszpańską granicę. Usmoleni węglem, zdyszani, zostali przy młynie, a żandarm niemiecki szedł do nich. . . Karol nie mógł przestać dziękować Ernestowi. I teraz Tony położył rękę na jego ramieniu, a Karol przestraszył się, bo właśnie mówił w duchu: „Merci Ernest, merci Susanne. . . Adieu“. . . Jednak szybko oprzytomniał, i ogarnęła go nuda.

— Polacy są specjalistami od romantyczności? Może. . . Ja mało wiem o Polakach.

Roześmiano się.

— Cóż to za grymasy?

— To nie są grymasy. Któż zna siebie? Swoją matkę? ojca? Łatwiej jest znać obcych, z którymi żadne afekty nie

łączą. A co do romantyczności, wydaje mi się, że ona może jednych do wojny doprowadzić, innych od wojny powstrzymać, ale na wojnie nie ma jej. Na wojnie jest tylko zmęczenie i upór, albo oblęd.

— Correct — potwierdził Tony. — Zmęczenie i upór. I tępe żyletki. Bo nawet strach, po pewnym czasie, staje się jedną więcej odmianą zmęczenia. Quite correct. Jednak sądziłem, że Polacy są inni.

— Owszem, bywają wariatami. Czy to pan miał na myśli? Anglicy też bywają. Opowiadano mi, że pod Tobrukiem jakiś facet z Royal Fusiliers przed każdym atakiem na bagnety wyskakiwał na skrzynkę, głośno się modlił, a na zakończenie piał „kukuryku”.

— To nie był wariat! — krzyknął Niki. — To imperialista! Modlił się, bo Bóg błogosławi bagnety pobożnych, a piał na pamiątkę Suworowa.

Tony posmutniał.

— To dziwne, jak trudno porozumieć się z przyjaciółmi — rzekł i podszedł do Daphne. — Pani nie powiedziała ani słowa.

— Bo ona jest największa tutaj romantyczka — mruknął Karol.

Po czym się rozeszli.

*

Karol lubił łązić po łąkach za parkiem. Drobny deszczyk mżył, kosy — niezrażone — gwizdały, trawa miękko ugiwała się pod stopami. „Nad Wisłą tak samo miękko się chodzi, — myślał, — a przy brzegu, w zatoczce koło śpichrza rośnie gęsty tatarak. Zuzia lubiła tatarak” . . .

I znowu — jak topielica z głębi wód — Zuzia wyływała z przeszłości. Ból odezwał się w piersi. Karol przywykł doń; umiał już neutralizować go i oszukiwać. Przede wszystkim fotografię Zuzi dawno wyjął z portfela i razem z polskim paszportem, listami, kartą imatrykulacyjną, legitymacją Klubu Sportowego i innymi warszawskimi pamiątkami zagrzebał na dnie walizy. W ten sposób prawdziwa twarz Zuzi na tle żągla, — fotografia z ostatniej wycieczki, — twarz ciemna z noskiem zmarszczonym, z szerokim białym uśmiechem, zatarła się powoli w pamięci. Natomiast twarz topielicy z każdym rokiem robiła się bardziej oczywista. Zuzia — nieludzko spokojna, bez koloru i uśmiechów, widziana jak gdyby przez grubą tafłę szkła — z miesiąca na miesiąc wyzbywała się znajomych cech. Najpierw straciła głos. Karol, rozpamiętywając jej słowa, pewnego dnia przestał je słyszeć: zamieniły się w sam czysty sens — bez dźwięku. Później opadły z niej uśmiechy. Potem róż odleciał z policzków, oczy zgasty. . . Tak umierała latami, pogrążając się na dno ukochanej rzeki — dno Wisły. Teraz była właściwie już tylko imieniem, tępym bólem w sercu i maską. Ale, zanim dokonało się to ostateczne rozstanie,

Zuzia walczyła o swój byt przy Karolku. Walczyła raz desperacko, raz podstępnie. Jeśli pływał, jadł dobrze, śmiał się albo tańczył, spadała nań z powietrza, wzbraniając przyjemności. Czasami robiła to we własnym imieniu, ale często w imieniu Polski, „bo szczęścia nie było w ojczyźnie“. W czerwcu 1940 r., gdy wahał się, czy nie zostać we Francji, nawiedziła go w biały dzień na bulwarze du Roi René. Z buzią, skurczoną z gniewu, krzyczała do niego: „Tchórze! Chcesz walki zaprzestać, więc chcesz mnie opuścić. Ale ja ciebie nie opuszczę. Po francuskich ogrodach krok w krok będę za tobą chodziła“. Później w szkole pilotażu, już na lotnisku angielskim poganiała go z godziny na godzinę: „Leć na Niemców, pamiętaj, że oni mnie męczą!“ . W pierwszym bojowym locie wyfrunęła z ciemności nad Bremą i szalonymi oczami błysnęła tak oślepiająco, że na sekundę stracił poczucie kierunku. A znów kiedy indziej używała sposobów czułych, lecz bardziej bolesnych. Oto np., przeniknąwszy w ciało obcej dziewczyny, w ten sposób kierowała jej dłońmi czy układała jej usta, że Karol nagle porywał się z miejsca i biegł nieprzytomny, szepcząc: „Ręce, wargi Zuzi.“ . . . Dopiero po ostatnim wypadku lotniczym, w czasie wędrówki hiszpańskiej zdarzyło się że Karol zapragnął zemsty nad Zuzią za swoje długie męczarnie. Jakąś senioritę, pełną oddania i wdzięków, sponiewierał i zostawił płaczącą, nie odwróciwszy głowy. Później, — w Anglii z powrotem, — kiedy wyszedł ze szpitala, Zuzi już przy nim nie było.

Polubił Riverside i Daphne. Zdenka powiedziała: „Riverside jest skrawkiem rzeczywistości w „Krainie Czarów“. Nieprawda. Dla niego to właśnie była „Kraina Czarów“ na wyspie nadto rzeczywistej. Dla niego Wielka Brytania znaczyła: operations' room, runway, biura, messy, biuletyn meteorologiczny, ciemność na oczach, ból w sercu, zmęczenie i chojractwo, chojractwo i zmęczenie. Słowem, „polski romantyzm“, czyli harówka na cudzym z trzydniowym wymówieniem bez odszkodowania. Poza lotniskiem i londyńską knajpą Anglia leżała we mgłach, nieciekawa i groźna. Czary wymykające się z mgieł zaprzeczały wszystkiemu co za czary uważał. Przez całe dzieciństwo strofowano go, gdy kładł język między zęby; tutaj seplenienie było warunkiem dobrej wymowy. W Warszawie nazywano „trupami na urlopie“ młodych ludzi, którzy nie dawali wyrazu uczuciom; tutaj nazywano ich gentlemenami. PaniENki polskie miały obowiązek przenoszenia nad wszystko misteriów miłosnych we dwoje; tutaj miłość zyskiwała smak dopiero na tle szumnej „party“. W Polsce wyśmiewano, jako krętyna, człowieka mówiącego o pogodzie, tutaj — człowieka mówiącego o polityce. Jednak spoza beznamiętnych twarzy, spoza klubów i pogód przeglądała polityka. Nie ta fantazyjna, kawiarniana — sport intelek-

tualistek i poetów, ani ta podwórzowa — sejm nieustający maglarek i bezrobotnych, tylko żywioł samoistny, drapieżne fatum, wiedza tajemna wielkich magów władzy i pieniądza. Karol ze swoją polską racją stanu, zaszytą w szkaplerz, nie zależną ani od wojsk ani od banków, dziecinnie prostą, streszczającą się w archaicznym słowie „wolność“, bał się brytyjskiej polityki. Bał się nie „czarów“ Anglii, lecz właśnie jej realiów. W Oxfordzie Anglia wynurzyła się z mgły: uciekał zatem na farmę Budićów.

Tutaj był kontynent... Tutaj przyszłość wyglądała tak samo enigmatycznie, jak w Polsce, i nawet słowa „There will always be an England“ miały dźwięk niepewny. Kłócono się, szukano w parku miejsc odludnych, wbrew oczywistemu interesowi ignorowano pogodę, walczone przeciw czasom i czasowi. Tutaj — wśród najswobodniejszych ludzi świata — tęskniono do wolności. Po trawniku angielskim suwały się kukielki, ustrojone w kostiumy dalekich narodów, nagich i bezgłosych. Śpiewano tu ich pieśni, spożywano potrawy, które wróg dawno z ich stołów pozmiatał. Głoszono ich urodę, ich prawa. Karol znał Grecję, Jugosławię, Rumunię... Znał za dni pokoju zarówno jak wojny. Pamiętał czarne, sękaty ręce chłopów rumuńskich, wyciągnięte z jałmużną do uchodźcy, i te same ręce — dawniej — grzebiące rozpaczliwie w ziemi, z której znikł ostatni przemarznięty kartofel. Pamiętał smród ubogich ateńskich uliczek i na drodze do Pireusu osady przymusowych repatriantów z Azji, pełne osłupiałego czekania, by skończył się koszmar niechcianej, zapomnianej „ojczyzny“. Pamiętał koniokradów rozpartych w winiarniach Zagrzebia i Serbów tak dumnych z każdego chorwackiego nieszczęścia, jak dumny bywał Indianin ze skalpu Bładej Twarzy. Pamiętał, ale tych wspomnień unikał. Patrząc na małą Ileanę w baranym kubraku, na ikony i na stoły czarne, nabijane mosiężnymi ćwiekami, myślał tylko: jakie to ładne, jakie nietutejsze! A tak znajdował wytchnienie od rzeczywistości.

Daphne nigdy go o nic nie pytała. O sobie opowiadała rzeczowo, z humorem, jak o bohaterce komicznego filmu, nigdy nie popadając w zwierzenia. Nie próbowała też prowokować ocen swego postępowania czy losu, a nawet swojej osoby. Nie dziwiła się żadnym odruchom, ani słowom Karola. Nie uciekała przed nim, ale i nie prześladowała go. Polubił ją więc najpierw za to czego nie robiła. Później przyszedł podziw dla nóg, oczu, uporu w pracy, zręczności nieświadomej w unikaniu pułapek tak obcego dla niej terenu — wreszcie dla owej „konstruktywnej“ postawy wobec wojny i własnego życia. Sporo czasu spędzali razem, w ten sposób, że ona obrządzała swoje zwierzaki czy rośliny, a on chodził za nią, paląc papierosy, dźwigając co było ciężkie, albo wprost patrząc

i gwizdząc. Któregoś bardzo zimnego popołudnia policzki Daphne były aż zielone z bladeści, a palce sine. Objął ją i przycisnął do siebie. Poddała się bez oporu, sama naciągnęła ściślej na grzbiet połę jego palta. Także i pocałunki przyjęła wdzięcznie, Ale kiedy odjeżdżał do miasta i przytrzymał jej rękę, szybko cofnęła dłoń. Zacinając się, powiedziała:

— Nie, nie, Charlie, bądźmy lepiej przyjaciółmi.

Trwała więc ta idylliczna przyjaźń wśród prosiąt, nie zamącona przez żywioły. Aż kiedyś, w końcu listopada, Daphne odszukała Karola, ledwie przyjechał z Oxfordu, i kazała mu iść za sobą do szklarni. Tam, siadłszy na murku, najpierw milczała, potrząsając puszystymi włosami, potem odrzuciła w tył głowę i ze wzrokiem utkwionym w gałązkę winną wysoko nad sobą, powiedziała:

— Charlie, ja się zdecydowałam. Ja widzę i rozumiem coraz lepiej, że *ta rzecz musi wcześniej czy później się zdarzyć*. I ta rzecz może się zdarzyć z kimś, kogo wcale nie będę lubiła. Nie chcę, żeby tak było. Wolę, żeby to był ktoś, kogo bardzo lubię. Ktoś taki jak ty. Czy mnie rozumiesz?

Rzuciła nań szybkie, ukośne spojrzenie, ciągle spokojna. Otóż nie: nie rozumiał jej. A raczej rozumieć nie chciał. Zbyt dalekie to było od tej gorącej ciszy, tego dreszczu, tych oczu zamglonych, tych rozdzierających niepokojów, które dla niego oznaczały miłość.

— Darling, — powiedział, — dziękuję ci. Namysł się jeszcze. Ja zaczekam.

Wtedy dopiero oblała się ciemnym rumieńcem. Wstała szybko.

— All right. Czy nie wiesz, gdzie jest sekator?

Pomagał jej przez chwilę przycinać pędy i pod byle jakim pozorem odszedł. Złość w nim wrzała:

„Namysł się, namysł — powtarzał w duchu, jak obelgę. — Ty przecież niczego nie robisz bez namysłu. Mogłaś myśleć tyle miesięcy, myśl jeszcze. . . Może wtenczas zrozumiesz, że nie dość jest „lubić“, żeby „ta rzecz“ mogła tobie przydarzyć się ze mną“. Długo nie zjawiał się na farmie. Kiedy wrócił, Daphne nawet drgnieniem powiek nie dała poznać, że pamięta. Widywali się krócej, i Karol zaczął jej dokuczać. Sprawa „konstruktywności“ znakomicie temu służyła. Ale land girl miała nieprzebrane zapasy pobłażania.

I wreszcie, podczas owej dyskusji o Jane Austen, w Karolu dokonał się przełom. Daphne, siedząc w półmroku pod oknem, milczała. Twarzy jej nie było widać, tylko blask leżał na włosach. Karolowi także nie chciało się gadać. Zaraz przy pierwszym zdaniu Zdenki o „sielankowej mieszczce“ pomyślał: „Daphne nie jest taka“ i — wbrew logice — poczuł się raczej w obozie „Emmy“, niż jej pogromczynie. „Słowa, słowa, — narzekał pod nosem, — za dużo wspaniałych słów“.

Krytyczną uwagę Madame Budič o akademickich dyskusjach przyjął z głębokim zadowoleniem, a kiedy Niki wspomniał „uroczą pacyfistkę“, sprężył się, gotów walić, jeśli by pod jej adresem paść miała jakakolwiek zaczepka. Dlaczego oświadczył, że „Daphne jest romantyczką“ — nie umiałby wyjaśnić.

Włóczył się teraz po mokradłach, nie pewny dokąd iść, żeby ją spotkać „przypadkiem“. Naraz przypomniał sobie Ileanę. Są w szklarni... Wygrzebał z kieszeni parę miętowych karmelków. „Poszukam Ileany“... Po drodze imię „Zuzia“ musnęło go jeszcze w przelocie, ale nie wzruszył się. Wszedł twardym krokiem do szklarni.

— Jest tu Ileana?

Ileana, z policzkami wypchanymi, wypelzła spod starej łyzy. Sekator szcząkał... Daphne była tam także.

— Psujesz to dziecko, — zagał, — przyniosłem jej cukierków, teraz nie dam.

— O, nie, Ileana nie pozwoli się zepsuć... .

— Skąd ta pewnoś?

— Ciebie też napewno psuli, a nie dałeś się.

Coś ścisnęło go za gardło.

— Ja się nie dałem? Skąd wiesz?

— Robisz wszystko co do ciebie należy, a może i więcej... .

Usiadł.

— Komplementy. To bardzo nowe u ciebie. I bardzo przyjemne.

Szczeń sekatora przybliżył się. Daphne stanęła przy nim. Zagarnął ją ramieniem. Po czym wręczył Ileanie karmelki, mówiąc:

— Matka cię woła.

Dziecko znikło.

— Daphne, — rzekł, — powiedz mi jedno. Teraz, kiedy się nie gniewasz... . Powiedz mi, czy ty chcesz, żebym się z tobą ożenił?

Patrzył jej w twarz z bliska z wielkim wytężeniem. Oczy dziewczyny zaszyły łzami. Powoli kilkakrotnie zaprzeczyła głową.

— Więc do czego ta rzecz ma prowadzić? Do jakiej konstrukcji?

Zerwała się z jego kolan.

— You are cruel! — krzyknęła.

Wtedy dopiero poczuł szczęście. Także zupełnie nowe. Nie rudzińskie, ale i nie angielskie — swoje własne. Szybko objął ją i całował tak mocno, że nie mogła już myśleć. Kiedy znów siedziała na jego kolanach, powiedział:

— Więc miałem jednak rację: jesteś romantyczką.

Umówili się, że wieczorem będzie na nią czekał w Oxfordzie przy autobusach.

Maria Kuncewiczowa.

Sędzia Jefferson zamknął teczkę z aktami. Rzecz cała była już teraz niemal jasna. Ustalono następstwo faktów. Ustalono okoliczności zbrodni. „Zbrodni?“ — zapytał sam siebie. Zrobiło mu się nieprzyjemnie z powodu znaku zapytania, który objawił się w podniesieniu brwi i lekkim wykrzywieniu warg. Z punktu widzenia prawnego fakt zbrodni nie ulegał przecież żadnej wątpliwości. Posiadał nawet pewne cechy potworności i dzięki nim nie tylko mieścił się w danym paragrafie kodeksu, ale poza niego wychodził, wyrastał całą masą szczegółów drastycznych i jakby niepotrzebnych. Zdecydowanie niepotrzebnych. Bo zbrodnia byłaby już zbrodnią także i bez nich. Cel, jeśli istniał, byłby osiągnięty także i bez „tego“. /To „tego“ oznaczało cały splot przykrych wyobrażeń, które ominął, aby nie psuć sobie do reszty wieczoru/. Jeśli bezwiednie uniósł brwi w powątpiewaniu co do cechy zbrodni, zdawało się to oznaczać, że sprawy wyrastające ponad definicję przestają już także podlegać sankcjom. Zachwiałyby to całym jego systemem prawnego i moralnego myślenia, który stosował przez trzydzieści lat swej działalności. To właśnie było nieprzyjemne.

Poza tym jeszcze i właśnie z powodu przerostu pewnych „szczeólów“ hipoteza psychologiczna, podstawiona pod fakty, załamywała się ciągle. Byłoby oczywiście rzeczą najłatwiejszą postawić całą sprawę na gruncie anomalii i psychopatologii. Lecz przeciwko temu oburzała się cała jego moralna świadomość. Badanie lekarskie, przeprowadzone dyskretnie, lecz szczeólowo, nie dało żadnych wyników. Domniemani sprawcy — jeszcze było przed wyrokiem, więc sprawcy byli domniemani — zachowywali się przez cały czas śledztwa jak ludzie absolutnie normalni, nie starali się wcale wywołać wrażenia, jakoby podlegali zaburzeniom psychicznym. Konstrukcja ich obrony miała w sobie coś odrębnego, w pewnym stopniu niezwykłego, ale z ich punktu widzenia normalnego. Także i sposób dokonania czynu przestępnego był prosty, pozbawiony paranoicznej wyostroznej logiki; był pełen owej zdrowej lekkomyślności, która cechuje normalny sposób postępowania ludzi. A prócz tego jeszcze ten trzeci — człowiek na wysokim stanowisku, pełniący do tej chwili ważne obowiązki, wplątany w tę sprawę bardziej istotnie, aniżeli — aniżeli sędzia Jefferson by tego pragnął. . .

Należało całą sprawę przemyśleć raz jeszcze, zrekonstruować ją od początku, odległego dziś już o przeszło trzy lata. Chodząc po pokoju, zastanawiał się, czy istotnie należy poświęcić dzisiejszy wieczór. Mimowoli stanął przed obrazem.

* Fragment powieści „Noc sędziego Jeffersona“

który wczoraj powiesił na ścianie nad kominkiem. Kupił go parę tygodni temu na licytacji za śmiesznie niską cenę i wczoraj odebrał od restauratora. Jeszcze nie miał czasu zbadać go należycie. Zatytułowany był „Święty Jan na wyspie Patmos“, ale robił raczej wrażenie jakiegoś świętego Robinsona, który urządzał się na samotnej wyspie. Bardzo interesujące było połączenie mnóstwa szczegółów życiowych — niewykończony dom, ław, garnków, jakiegoś warsztatu — z aureolą świętości, z anielską łagodnością rysów świętego. Flamandzki? Francuski? Sędzia Jefferson nie znał się na malarstwie, i nie to go interesowało w obrazach. Lubił stare płótna, przez które wnikał w wyobrażenia, uczucia i myśli minionych wieków. Lubił je, bo dawały mu poczucie ciągłości kultury, ciągłości wartości. Przez kontynent europejski przejechał kilka razy normalnym szlakiem turystów i bez wielkiego zapału. Nie znosił małych francuskich hotelików, najczęściej brudnych. Nie znosił ciasnych zaułków włoskich. Wolał kulturę kontynentu sprowadzoną do Anglii, do swojego domu, w skondensowanej formie obrazów i książek, jak lubił obrane ze skórki mandarynki i ananasy w plasterkach zamknięte w puszkach. Należało tylko puszkę otworzyć kluczem. Od rana cieszył się na to, że dzisiejszy wieczór poświęci „Świętemu Janowi z Patmos“.

Pani Hutchings uchyliła drzwi od pokoju.

— Trzeba by zgasić górne światło — powiedziała i wyciągnęła rękę ku kontaktowi.

• Spojrzał na nią pytająco.

— Pan sędzia nie słyszał alarmu? — zdziwiła się. — Zdjęliśmy czarne franki, a teraz światło przecieka górą. Latają przecież nad nami. Nie słyszy pan?

— Niech pani idzie do schronu.

— Gdyby pan sędzia zechciał pójść... byłoby to bardzo rozsądne — w jej głosie brzmiała wstydliva prośba.

— Mam pilną robotę.

— Mój Boże, robota, kiedy lada chwila... już niedaleko spadła jedna bomba... — przechyliła głowę z powątpiewaniem, zgasiła górne światło i usunęła się cicho.

Zatem trzeba zająć się sprawą Sławskiej, Ciljakowa i... Ashleya — zdecydował sędzia. Słyszał nad sobą nisko brzęczący warkot motoru, mimowoli nadśluchiwał, czy nie urwie się nagle — nie, oddalał się, bomba leciała dalej, padnie tym razem na inne domy, zabije innych ludzi — nastrój, stwarzany tymi bombami, miał w sobie jasność jakby przedśmiernej chwili. Stwarzał tło niejako absolutne, za chwilę święty Jan z Patmos może być pogrzebany w gruzach, ta możliwość oczyszczała pole widzenia, myśl mogła poruszać się drogą prostą, istotną, bez przeszkód i obaw.

Ashley, zapytany, dlaczego zainteresował się Sławską, wydał się zlekka zakłopotany. Widać było, że szuka wyjaśnienia banalnego, nieindywidualnego. Najbardziej dogadzałoby mu zapewne, gdyby mógł powiedzieć, że pożyczyła mu pieniędzy, których potrzebował, a ponieważ to wyjaśnienie wkrótce okazałoby się nonsensem, przeto powiedział po prostu:

— Nie wiem.

Znacznie później dopiero użył określenia:

— Była „inna“.

Owego dnia, w r. 1940, wracał do domu później niż zwykle. Był listopad. Nad chmurami był księżyc, ale ulice były ciemne. Trwał nalot. Zmierzał w kierunku stacji Hyde Park Corner. Nagle gdzieś w pobliżu huknęła bomba, pęd powietrza uderzył w niego. Zachwiał się i w tej chwili zderzył się z kimś, biegnącym z przeciwnej strony. Była to kobieta. Chwycili się siebie mocno, w instynktownym poszukiwaniu oparcia. Wówczas nie zdawał sobie z tego sprawy, ale potem pamiętał, że poczuł na sobie jej ciało do niego przywarte. Było w tym uścisku coś wyraźnie podniecającego — potem. Właśnie w jego przelotności, w tym, że do niczego nie zmierzał, do niczego nie obowiązywał, że był tak niezgodny z okolicznościami i przypadkowy. Zatoczyli się razem i oparli o mur.

— Już przeszło, nic się nie stało — rzekła po chwili głosem niemal wesołym, bardzo przyjemnym, choć akcent miała twardy, wyraźnie cudzoziemski.

Nagle zrobiło się jasno. Z dała za kamiennym portykiem parku zawisły na niebie świetliste kolorowe kule. W zielonej i czerwonej poświacie kolumny zdawały się rość ku niebu i chwiać. Domy rzucały czarny cień. Wysoko w górze pękały szrapnele w płomiennych rozpryskach.

— Niech pani teraz nie idzie — wstrzymał ją. Grad odłamków szrapnelowych dudnił po bruku. — Zdaje mi się, że jestem ranny — dodał po chwili. — Ale chyba nic wielkiego. . .

Nachyliła się nad jego nogą.

— Tak, rzeczywiście — powiedziała głosem pełnym współczucia. — Niech pan tu poczeka, sprowadzę pomoc.

— Nie, skądżeż, nie potrzeba. Mogę pójść sam. Zaraz pójdziemy . . . zaraz pójdę. . .

Kiedy opowiadał o tym, przyznawał, że przerażał go nie nalot, nie bomby, nie rana, którą zaraz ocenił jako nieznaczną. Przerażał go pusty fantastycznie oświetlony plac, z którego wiało samotnością.

— Nie mogłem zresztą zostawić tej kobiety — dodał.

— Podobała się panu?

— Nie widziałem przecież nawet jej twarzy. Zmieniała się co chwila w świetle pochodni. Raz wydawała mi się pospolita i stara, po chwili cienie układały się tak że stawała się jakby

mityczną postacią. Ta gra była zajmująca. Ale wówczas wcale o tym nie myślałem.

— Nie pomyślał pan o tym, że może pan po prostu pójść na stację opatrunkową?

— Wiedziałem, że jest niemal tuż obok. Ale kiedy powiedziała, że mieszka niedaleko... Doszedłem do jej domu bez trudności. Rana była zewnętrzna. Odłamek szrapnela zadrasnął skórę, łydka była obrzękła, nic więcej. Spodnie przedziurawione... Twierdziła, że koniecznie trzeba opatrzyć, że powinienem przeczekać nalot. Cała sytuacja była tak niespodziewana, niezwykła...

— Nie pomyślał pan, że to może być dziewczyna lekkich obyczajów?

— Nie, nie pomyślałem.

Usadowiła go w fotelu, klęcząc przed nim zmywała ranę, dotyk jej palców był delikatny. Zdawała się bardzo przejęta, była w jej gestach i ruchach jakaś wylewność, nadmiar serdeczności wobec obcego człowieka. Przystawała nagle w pół ruchu i patrząc mu w oczy pytała:

— Nie boli?

— Ani trochę — uśmiechał się, ciągle bardzo zdumiony.

Potem wybiegła. To jej bieganie, ruchy szybkie i jakby nieskoordynowane — brała coś w rękę, odrzucała, chwytala co innego — sprawiały wrażenie czegoś egzotycznego. Dziecinność? — nie. Miała dwadzieścia parę lat, bliżej trzydziestki. Raczej inny świat, inny sposób reakcji, inna kompozycja sposobu bycia. Ashley rozglądał się po pokoju i wyraźnie rozróżniał dwa jego składniki: tubylczy i obcy. Mógłby powiedzieć, które meble zostały przestawione. Na kominku leżała dwukolorowa wstążka, na jej tle stała fotografia, obok widoki jakiegoś miasta. Ashley zaznaczał, że naogół nie lubi egzotyki, choć spędził kilka lat w służbie dyplomatycznej na kontynencie. Musi przyznać, że najlepiej czuł się w Niemczech. Ale ona nie była Niemką.

Wróciła, trzymając w ręku prymitywny blaszany kociołek i czajnik. Nalewała herbatę do dwóch różnych filiżanek, zastawiła stół różnymi potrawami, które nie odpowiadały ani podwieczorkowi, ani obiadowi. Jeszcze ktoś zapukał do drzwi, i jeszcze coś zjawilo się na talerzu na stole. Był zażenowany, a ona się usprawiedliwiała:

— Mieszkam z przyjaciółmi, oczywiście, nie mam czasu sama gotować... w południe jadam na mieście, wieczorem w domu... pani Halina gotuje... pani Halina jest żoną właściciela mieszkania, ja odnajmuję jeden pokój i jeszcze jest jeden pokój odnajęty, zajmuje go lotnik... tak, lotnik... mój... brat...

-- Powiedziała: „brat“?

— Napewno powiedziała wówczas „brat“. Mnóstwo

rzeczy opowiedziała tego pierwszego wieczoru, choć ja o nic nie pytałem i rozmowa nie toczyła się o sprawach osobistych. To nie było gadulstwo, to był raczej ten właśnie specyficzny brak normy, jakiś brak zastrzeżeń czy dziecinna ufność — nie wiem.

— Dziecinna ufność? Ostatecznie skłamała. . .

— Tak, skłamała . . . ale to się potem wyjaśniło.

— Potem. . . Co mówiła jeszcze tego wieczoru?

— Dowiedziałem się, że pracuje w jakimś biurze, że zarabia dwadzieścia parę funtów miesięcznie . . . zdaje się, że to była prawda.

— Czy nie było sprzeczności między tym jej dochodem, stosunkowo niewysokim, a poziomem jej mieszkania, ubrania, jedzenia?

— Owszem, zdawało mi się, że wyczuwam coś podobnego. Nie mogłem jej traktować jak zwykłej panny biurowej, choć wiedziałem, że nią jest. Jej ręce . . . pewna dystynkcja . . . sposób prowadzenia rozmowy. . .

— Futro?

— Tak, futro. Zrzuciła je z ramion, kiedy weszliśmy do pokoju. Leżało cały czas na fotelu.

— To samo, w którym. . .

— To samo. . . Później, po kilku miesiącach, zdałem sobie sprawę z tego, że się ubiera dobrze, ale. . .

— Ponad poziom dwudziestu kilku funtów?

— Być może.

— Czy w czasie dalszej znajomości otrzymywała od pana pieniądze?

— Oh, nie. Raczej drobne upominki, bez wartości.

— Ale ostatecznie już pierwszego wieczoru musiał pan sobie zdać sprawę z tego, że jest ona poniżej pana poziomu . . . społecznego. Dlaczego nie przerwał pan tej wizyty?

— Istotnie, siedziałem zbyt długo. To był jeden z większych nalotów. Do stacji Knightsbridge było z dziesięć minut drogi, piechotą. Przy tym opowiadała z wielką żywością, interesująco. . .

Dochodziła dziewiąta, kiedy wstał i chciał się pożegnać. W tej chwili huknęło gdzieś blisko, dom się zatrzęsł, zabrzęczały szyby. Skuliła się w sobie, jak człowiek, który oczekuje, że zaleje go fala. Stała mu się nagle bardzo bliska w tym bardzo kobiecym, bezradnym geście strachu. Marjorie nigdy nie okazywała strachu podczas nalotu.

— Mbże pani zejdzie na dół do piwnicy — zaproponował.

— Nie — odmówiła. — To stary dom, nie wytrzyma podmuchu. Wolę żeby mnie zabiło, aniżeli zasypało żywcem. Chyba żeby pan. . .

— O nie — uśmiechnął się.

Był tak spokojny, jakgdyby nalot go nie dotyczył. Kiedy mu

tłumaczyła że nie może teraz wyjść, usiadł z powrotem w fotelu, nie wiedząc dobrze, dlaczego to robi. Bawiła go jej twarz o ładnych rysach, tak bardzo zmienna w wyrazie. Teraz było w niej coś w rodzaju dumy i uporu.

— Właściwie jestem do tego wszystkiego bardziej przyzwyczajona od pana. I w gruncie rzeczy mało sobie z tego robię. Przez sześć tygodni wędrowałam po moim kraju, ciągle pod bombami, pod ostrzałem karabinów. . .

Opowiadała o tej dziwnej wędrowce, twierdząc, że Niemcy strzelali do cywilnej ludności, która ciągnęła drogami z dziećmi i tobołami, że bombardowali stacje kolejowe zapchane ludźmi, pociągi które wiozły uchodźców. Nie bardzo jej wierzył. Ale obraz, który malowała, był pełen dramatyczności. /Marjorie powiedziałaaby tylko: „Niekiedy było raczej nieprzyjemnie“/. Wyrastał z jej słów kraj dziwny, pełen kontrastów, mieszała wspomnienia przedwojenne z wojennymi. Mówiła o gorącym słońcu wrześnieowym, był kurz na drogach, leżały rozkładające się końskie trupy, słychać było strzały i huki, ale przed chwilą słońce to oświetlało szerokie pola zbożowe i było świadkiem zdarzenia, które nie wiadomo dlaczego było dla niej ważne: w lipcu były żniwa. Te żniwa urastały w jej opowiadaniu do symbolu, rozpadały się na szereg ważnych funkcji, koszone, wiązano snopy, wreszcie kopy zboża stały na ścierniskach. Potem powtarzała, że we wrześnieu pod bombami chłopci orali ziemię. Patrzył na nią trochę zdziwiony. W Londynie pod bombami miliony ludzi szło codziennie do pracy, nocami i w taką noc, jak ta, miliony ludzi stało przy warsztatach fabrycznych — a ona podkreślała, że w jej kraju chłopci pod bombami orali niewzruszenie ziemię. Przez chwilę uśmiechał się do siebie pod wrażeniem jej przesady. Potem zrozumiał, że właściwie ona dopiero uświadomiła mu dramatyczność tej ciągłości pracy tu w Londynie i tam w tym dalekim kraju.

— Na jednej stacji pociąg stał długo. Gdzieś dalej zbombardowali tor. Czekaliśmy aż naprawią. Nagle przyszedł alarm. Widać było samoloty. zniżyły się, ludzie biegli do schronu, na pola. Ktoś krzyknął: „To nie są Niemcy“. I nie wiadomo kto zawołał: „To są angielskie samoloty. Anglicy przylecieli! Z pomocą“. Ludzie stali. Kiedy maszyny były już całkiem nisko, zaczęli wołać ku nim, machać ramionami, kapeluszami, chustkami. . . Ja wołałam: „Thalassa, thalassa“.

— Dlaczego „Thalassa“?

— Tak wołali Grecy, kiedy ujrzeli morze, którego widoku zwywali.

To był jej sposób mówienia. Znacznie później uświadomił sobie, że jest to projektowanie uczuć w fakty. Mieszanie ich. To, czego nie robiłby czternastoletni uczeń jakiejś „public school“. Ale pierwsze wrażenie było uderzające swą nowością. Poza tym odkrył w tym — później — jeszcze jedną przyjem-

ność: obraz gromadnego pragnienia, którego przedmiotem była Anglia i on sam tylko dlatego że był Anglikiem, był niewątpliwie przyjemny. Nie potrzebował potwierdzenia wielkości brytyjskiej. Niekiedy mówił o tym raczej ironicznie, ale właściwie nigdy o tej wielkości nie wątpił. Ale teraz stała przed nim, przyniesiona z daleka, z obcego środowiska, i stała się jakby faktem historycznym.

— Przecież to się rozumie samo przez się — powiedział Jefferson w tym miejscu.

— To się działo w r. 1940 — odrzekł Ashley cicho.

Ashley wielokrotnie zaznaczał, że był w owym czasie nerwowo wyczerpany. Naloty? — Nie. Chodził do biura, jak zwykle, pracował więcej niż zwykle. Ale był pełen wątpliwości, cierpiał na brak pewności siebie. Nigdy mu się to przedtem nie zdarzyło. Miał jakiś przykry kompleks samotności, czuł się opuszczony. Odczuł to bardzo wyraźnie właśnie tego samego wieczoru, kiedy przywarty do muru patrzył na fantastycznie oświetlony, przerażająco pusty plac przed bramą Hyde Parku. Dlatego poszedł z tą obcą dziewczyną. Później ona potwierdziła mu jego wielkość, ku niemu wyciągała ramiona i wołała: „Thalassa“. I wreszcie... przecież to frenetyczne i dziecinne witanie rzekomych angielskich samolotów skończyło się dla nich bardzo smutno...

— Trzeba było być szalonym, żeby oczekiwać wówczas od nas pomocy — powiedział Jefferson i wzruszył ramionami.

— Oczywiście. Ale opowiadała bardzo żywo o tym, ilu było zabitych i rannych po tym powitaniu. Mówiła, że sama była ranna. Być może, niezupełnie jej wierzyłem. A także czułem, że każdy rozsądny człowiek byłby naprzód upewnił się, kto leci, a potem dopiero witał. Ale bądź co bądź ona była teraz w Londynie i udzieliła mi tak wylewnie pierwszej pomocy. Wiedziałem, że to jest śmieszne, ale jednak czułem się wobec niej zobowiązany. Zresztą, mówiłem panu, że cierpiałem wówczas na brak pewności siebie.

— Nie rozumiem związku.

Ashley uśmiechnął się.

— W chwilowej sytuacji, kiedy siedziałem w fotelu w jej mieszkaniu, oczywiście raczej ja potrzebowałem jej pomocy. Noga bardzo spuchła, i z trudnością się ruszałem. Ale w zasadzie było przecież jasne, że to raczej ona, emigrantka bez realnych podstaw życia, może mnie potrzebować. Nie w sensie pieniężnym. Ja byłem przecież u siebie, w swoim kraju. Z entuzjazmem mówiła o Wielkiej Brytanii. Z wiarą. To było jakby cudowne lekarstwo. Rozumie pan?

Jefferson potwierdził, choć ów abstrakcyjny tok rozumowania Ashleya nie bardzo przemawiał mu do przekonania i raczej nastrojał go podejrzliwie. Dlatego zadał pytanie bardziej konkretne:

— Czy w czasie tej pierwszej wizyty doszło do . . . do intymności?

— Nie.

— Czy pomyślał pan o tym, by zużytkować Sławską do jakichś czynności w związku z własnymi funkcjami urzędowymi?

— Tak . . . pomyślałem. Ale . . .

— Nie musi pan zeznawać nic takiego co by wkraczało w dziedzinę tajemnicy urzędowej.

— Wiem. Nic takiego tajnego przez moje ręce nie przechodzi. . . — Ashley uśmiechał się. — Jestem w gruncie rzeczy małym pionkiem. Wykonawcą. . . Ale nie znałem przecież Sławskiej, nic o niej nie wiedziałem. Pozatem, zdaje się, trafnie ją od razu oceniłem.

— To znaczy?

— Romantyczka. Trochę ekscentryczna. Osobiście raczej mnie to pociągało. Wiem, że romantycy nie bardzo nadają się do współpracy. Można im polecić jakieś bardzo trudne, karkołomne zadanie. Wykonają je bez wynagrodzenia, najczęściej przy tym giną, ale musi to wynikać z ich wiary, z ich założeń. Ja się raczej obawiam tego typu ludzi.

— Ale jednak później. . . ?

— Tak, to było w warunkach przymusowych.

Ashley zadzwonił do domu dopiero po dziesiątej wieczór.

— Bardzo się o ciebie niepokoiłam — powiedziała Marjorie spokojnym głosem.

Stefania Zahorska.

SMOLARZE

W przeznaczonej do użytku szkół, grubej, bo ośmiusetstronicowej, „History of England“ C. E. Carringtona i J. H. Jacksona /1937/ jest pięć wzmianek o Polsce. Po raz pierwszy z powodu rozbiorów, po raz piąty z powodu kongresu wersalskiego.

W National Gallery i Tate Gallery malarstwo polskie reprezentują tylko trzy szkice Feliksa Topolskiego.

*

Jako człowiek z gruntu praktyczny, zastanawiam się, co z nami będzie, o ile nie spełni się optymistyczna przepowiednia premiera Churchilla, który twierdzi, że w najgorszym wypadku jedynie znikomą część Polaków nie będzie mogła wrócić po zwycięskiej wojnie do swego Kraju. A nuż represje rosyjskie obejmą nie tylko znikomą część ale całość emigracji i wojskowej i cywilnej? A nuż nikt, absolutnie nikt z nas nie zechce wrócić? Cóż z nami będzie?

W r. 1620 statek „Mayflower“ zawiózł do Ameryki t.zw. „ojców pielgrzymstwa“ angielskiego, którzy rozpoczęli tłumną emigrację na tamtą półkulę, choć pierwsza kolonia angielska na drugim brzegu wielkiego stawu powstała już w r. 1585, w Roemuck, do jej zaś znakomitych członków należało sześciu Polaków, specjalistów od wyrobu smoły. Zaangażował ich sam wielki Sir Walter Raleigh. Robota paliła się w rękach tych pracowitych Polaków, co odbijało korzystnie od zachowania się innych emigrantów, którzy, jak pisze ówczesny gubernator Wirginii, kpt. John Smith, „never did know what a day's work was except the Dutchmen and the Poles“.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że właśnie owi polscy smolarze, pierwsi w dziejach Ameryki porzucili pracę, ogłaszając strajk, i to pierwszy strajk polityczny. Ot, niepożądani cudzoziemcy! Muszę zatrzymać się dłużej przy tym epizodzie, który nb. może nas dzisiaj zdyskredytować i zaszkodzić naszym interesom. Otóż w r. 1619 zebrał się w Jamestown t.zw. „House of Burgesses“, czyli pierwszy parlament amerykański, i uchwalił przyznać prawo głosowania wyłącznie Anglikom. Polacy zbuntowali się i cisnęli pracę, oświadczając stanowczo, że strajkować będą dopóty, dopóki nie zostaną zrównani w prawach z Anglikami. Wygrali! Nie chcieli być Murzynami.

Bez jakichś tarć i awantur obejść się przy tym nie mogło, bo też Polacy w ogóle, smolarze polscy w szczególności, odznaczają się krewkością i zamiłowaniem do bitki, ale „The Court Book of the Virginia Company of London“ w protokóle z 31 lipca 1619 r. mówi łagodnie: „Upon some dispute of the Polonians resident in Virginia it was now agreed that they shall be enfranchised and made as free as any inhabitants whatsoever“. Polacy wygrali więc pierwszą w Ameryce walkę o swobody demokratyczne, ponadto zaś powierzono tej właśnie grupie smolarzy naszych organizację kursów zawodowych: „And because of their skill in making pitch and tar and soap-ashes shall not die with them /brzmi to niemal jak fragment naszego hymnu narodowego/, it is agreed that some young men shall be put unto them to learn their skill and knowledge therein—for the benefit of the country hereafter“.

Na myśl o tym wstępuje we mnie pociecha: mamy chleb w ręku, nie umrzemy z głodu, gdyby spełnić się miały pesymistyczne uwagi premiera Churchilla, wypowiedziane w związku z totalnym zwycięstwem nad Niemcami.

Smolarze. . . W r. 1922 przyjechała do Warszawy niejaka Mrs. Nicoll, pragnąc zebrać materiały do pracy o Szekspirze w Polsce. Czy ją dobrze oprowadzano, czy ktoś wskazał jej wszystkie źródła, nie wiem. Istnieją poważne studia na temat Szekspira w Polsce, więc np. Stanisława Tarnowskiego

i Władysława Tarnawskiego, pisał o tym gęsto Ludwik Bernacki, pisał Marian Szykowski, choć zdają się oni opóźnić trochę debiut Szekspira w Polsce. Nawet gdybyśmy nie wmawiali w siebie i w innych, że już niejaki Mr. Green, dyrektor wędrowniej trupy angielskiej, przywiózł Szekspira na scenę Zygmunta III i Władysława IV /co zresztą jest raczej prawdopodobne/, to jednak podkreślić wypada, że pierwszy a pominięty przez zacytowanych pisarzy przekład „Hamleta“ ukazał się pono w drugiej połowie XVIII w. w zakazanej dziurze mianowicie w Machnówce, majątku Prota Potockiego na Ukrainie. Informacje niesprawdzone.

Plusquamperfectum. Rzecz ważniejsza, że najlepsza scena warszawska, więc Teatr Polski dał w ciągu ćwierćwiecza /1913–1938/ 652 przedstawienia sztuk Szekspira i 569 przedstawień sztuk Shawa (12% repertuaru!). Niektóre z komedii Shawa wyprzedziły premiery londyńskie. No, i jak to było wystawione! Jak zagrane! Szkoda, że np. John Gielgud nie widział Szekspira w Warszawie i w ogóle w Polsce.

Szekspir sam musiał coś wiedzieć o Polsce, skoro tak pięknie wspomina o niej Hamlet. Podobno Poloniusz zawdzięcza swe imię książce Wawrzyńca Goślickiego „De optimo senatore“, przełożonej trzykrotnie na angielski.

O karierze książki Goślickiego, o sukcesach poezji Macieja Sarbiewskiego, o tragicznych niemal losach /habent sua fata libelli/ książki Kaspra Cichockiego, mógłby najlepiej poinformować polskich i niepolskich czytelników prof. Stanisław Kot, z żyjących dotąd historyków najwybitniejszy znawca stosunków polsko-angielskich, kontynuator Lacha Szyrmy i, głównie, Waleriana Kalinki, do których trzeba dodać Wacława Borowego. Szkoda, że prof. Kot na pewno będzie wolał, zamiast zająć się dziełem „De optimo senatore“, napisać książkę „De pessimo sanatore“.

Wiele zarówno ważnych jak barwnych szczegółów przynosi pracowita rozprawa Urszuli Szumskiej „Anglia a Polska w epoce humanizmu i reformacji“, której fragmenty ukazały się w doskonale redagowanym „Poradniku Świetlicowym Y.M.C.A.“. Każdego amatora psich wyścigów zainteresuje fakt, że Sobieski, będąc w Londynie wraz z bratem, przypatrywał się walce psów z niedźwiedziem, i że uznali to za „rzeczną piękną i ucieszną“.

*

Jako redaktora zamkniętych przez władze angielskie przed z górą rokiem „Wiadomości Polskich“ interesuje mnie dola książki Cichockiego, który w samym początku XVII stulecia napadł na Anglików, zarzucając im — o, horror! — hipokryzję. Czy można się dziwić Jakubowi I, że w r. 1615 wysłał do Zygmunta III ambasadora Dickinsona, który zażądał, aby nasz król kazał książkę spalić i ukarać surowo autora?

Zygmunt III odpowiedział zupełnie tak samo, jak nieco później, w połowie XVII w. senatorowie polscy odpowiedzieli w analogicznym wypadku posłowi cara. Po prostu zasłonili się wolnością słowa. „Król ani my pisać książek nie zakazujemy ani nie każemy“ . . .

W tej sprawie spotkałem się z inną wersją, mianowicie Wiktor Gomulicki, nie podając źródła, cytuje wiadomość, że książkę tę, przedstawiającą Jakuba I jako wyrzutka i zakalę ludzkości, a królowę Elżbietę jako „potwór piekielny“, spalono uroczyście na rynku Starego Miasta w Warszawie. Pona to, Kasper Cichocki uniknął kary tylko dzięki temu, że . . . umarł. Być może, popełnił samobójstwo. Habent sua fata libelli . . .

Stosunki polsko-angielskie mają charakter przede wszystkim handlowy, choć ich dzieje możnaby zacząć od Kanuta Wielkiego, króla Anglii a wnuka Mieszka I i siostrzeńca Bolesława Chrobrego. Jakie wspomnienie zachował Kanut o matce i czy umiał bodaj kilka słów po polsku, nie wiadomo. W każdym razie ta matka, nosząca polskie imię Dumna, skandynawskie Sygryda, musiała mieć niepospolicie bujny temperament, a nawet według naszych zacofanych pojęć, była do pewnego stopnia awanturnicą. Miała trzech mężów. Czy pierwszy, król szwedzki, co nie jest wykluczone, umarł, czy też rozwiodła się z nim, nie wiem. Z drugim, mianowicie królem norweskim, rozeszła się napewno, uzyskując „decree nisi“, po czym uszczęśliwiła króla duńskiego. Rezultatem tego mariażu Mieszkówny było dziecię płci męskiej imieniem Kanut. /Nie ma to nic wspólnego ze znaną restauracją „Canuto's“ przy Baker Street w Londynie/.

Cóż dalej? Nie wiem. Chyba dalszym etapem stosunków polsko-angielskich jest fakt, że miejsce monety arabskiej, mającej obieg w Polsce, zajęła moneta angielska, albo też polska, ale bita na wzór angielskiej w mennicach Piastów. Pierwszym produktem, przywiezionym do Polski, musiało być, jak sądzę, sukno, konkurujące z flandryjskim. Nasz snobizm na punkcie ubrań z „materiału angielskiego“ sięga swym początkiem głębokich mroków średniowiecza. Sporo lat temu, już w Londynie, czytałem kilka numerów miesięcznika „Die Burg“, wydawanego przez Niemców w Krakowie, podczas tej wojny. Pismo to, choć wybitnie tendencyjne, stało na poziomie o tyle wysokim, że potrafiło wyzyskać źródła i opracowania polskie, dzięki czemu znalazło się w nim trochę interesujących a nawet /dla mnie/ nowych szczegółów, m.in. dotyczących angielskich firm sukienniczych, które wywoziły swe wyroby do Polski. Podane są tam dokładne marki i nazwy pewnych gatunków sukna, wiele zaś podobnych informacji zawierają archiwa naszych miast, m. in. Lwowa, gdzie przecież od lat niepamiętnych jest ul. Szkocka. Władysław

Łoziński w swej pracy „Patrycjat i mieszczaństwo lwowskie w XVI i XVII w.“ wymienia nazwiska przeróżnych Allandtów, Whigtów, Babbingtonów, Hudsonów i innych, podczas gdy w „Die Burg“ znaleźć można fakty i nazwiska wcześniejsze.

*

Z przymiotnikiem „angielski“ spotykamy się u nas po raz pierwszy w dość oryginalnych okolicznościach, bo w kolędzie z r. 1424; jedna zwrotka zaczyna się od słów: „Zdrów bądź, królu angielski“, który to tekst zapisano w formie: „Sdrow bancz królu angelsky“. Nb. nie są te słowa pierwszą, polską wersją hymnu „God Save the King“. Po prostu nie rozróżniano wtedy przymiotnika „angielski“ od „anielski“. Dodać wypada, że w niemieckim, np. u Goethego, spotkać się można z przymiotnikiem „englisch“ w znaczeniu „engelhaft“ czy „engelsgleich“. Niektóre słowniki niemieckie, i to stosunkowo świeżej, przedwojennej daty, obok „engelhaft“ i „engelsgleich“, podają w tym samym znaczeniu „englisch“. Sądzę, że po tej wojnie nastąpi zatarcie się różnicy w języku niemieckim.

Zaznaczyć wypada, że kronikarz angielski, mówiąc o zwycięstwie grunwaldzkim, Jagiełłę „królem krakowskim“ nazywa.

Dotknąłem zaledwie spraw językowych, i samorzutnie, na porwanych strunach pamięci, zaczynają grać jakieś urywki, strzępy, poszczególne akordy wspomnień czy lektury. W Polsce, obok wyrażen sportowych, używaliśmy najczęściej słowa, którego nie można znaleźć w przeciętnym, popularnym słowniku (nb. jest u Stanisławskiego, ale chyba tylko ze względu na zamiłowanie Polaków do tego zwrotu/, mianowicie słowa „doping“. W popularnej „Pears' Cyclopaedia“, jak w wielu innych podobnych wydawnictwach, nie spotkałem się wogóle ani z rzeczownikiem „the dope“ ani z czasownikiem „to dope“. W ogromnym słowniku H. C. Wylda słowo to występuje przede wszystkim w związku z koniem, który czasem dostaje „dope“ przed wyścigiem, poza tym wyraz ów w zastosowaniu do spraw ludzkich ma raczej znaczenie ujemne, podczas gdy w Polsce miał znaczenie dodatnie: „on potrzebuje tylko dopingu“, „on bez dopingu nic nie robi“ i t.d. i t.d. Przeprowadziłem ankietę wśród znajomych Anglików, i wszyscy trzech powiedzieli mi, że jest to wyrażenie raczej rzadkie, zwłaszcza w formie imiestowu.

Teraz radio gra u sąsiadów zwycięskiego marsza z „Aidy“, ja zaś, niczym sam Archimedes, siedzę przy robocie i dumam nad niektórymi słowami angielskiego pochodzenia. Np. „dreny“, „drenować“. Wynikałoby stąd, że na polu agronomii wiele zawdzięczamy Anglikom, podczas gdy w rzeczywistości oni nam sporo winni. W połowie XVII w. pojawił się tu Polak, pierwszy komunista na gruncie Londynu, Samuel Hartlib,

o którym nader pochlebnie wyraża się wielki Milton, twórca „Raju utraconego“, pisząc: „the merits . . . which have won you with me the esteem of a person sent hither by some good providence from a far country /istotnie, daleki kraj, zwłaszcza dzisiaj dla nas/ to be the occasion and incitement of great good to this island“. Mój Boże, podobnie pisano i mówiono o nas jeszcze przed niespełna trzema laty!

Wracajmy jednak do Hartliba. Wiadomość o nim zawdzięczać uratowanym podczas „Blitzu“ notatkom, jakie poczyniłem, czytając nieporządnie napisaną, ale interesującą książkę Józefa Retingera o wkładzie Polski do kultury świata. Ach, jaka szkoda, że autor nie poświęcił się wyłącznie służbie dla inteligencji we właściwym, dosłownym znaczeniu!

Więc ów Hartlib unowocześnił agronomię w Anglii i był ojcem reformy rolnej, on, Polak, zatem, zwłaszcza po matce, landlord typowy. Dostał nawet w r. 1646 pensję 100 funtów rocznie. Ile z tego płacił podatku, powiedzieć nie umiem.

/Żeby skończyć z Retingerem: oprócz wspomnianej już książki Cichockiego „Alloquia Osiecensia, libri quinque“, o której wiem także skądinąd, wypada wymienić dzieło Stanisława Krystanowica „Examen catholicum edicti anglicani contra catholicos“ /1607/, która, będąc namiętnym atakiem na Jakuba I, wywołała sporo wrzawy i replikę samego Bacona. (Tę informację winien jestem książce Retingera).

„Chuligan“ wydawało mi się zawsze być słowem pochodzenia rosyjskiego, gdyż przywędrowało do nas, jeśli się nie mylę, w epoce pogromów żydowskich i weszło w powszechne użycie mniej więcej około 1905 r., jest to jednak słowo angielskie a raczej irlandzkie, „hooligan“ oznacza zaś, tak samo jak u nas, łotra i drania albo chama.

*

Pierwszy wybitny Anglik, który bawił w Polsce, to chyba wspomniany m.in. przez prof. Kota, Piotr Payne z Oxfordu. Brał on jeszcze za czasów Jagiełły udział w jakiejś wielkiej dyspucie publicznej na Wawelu; tematem jej były nowinki Husa. Następny gość, to Leonard Coxe, wielbiciel „celebrimae Academiae Cracoviensis“ /Nie należy go mylić z Williamem Coxem, który bawił w Polsce za Stanisława Augusta. Nb. król rozmawiał z nim po angielsku o Szekspirze/. Odwiedził on Polskę i Kraków w pierwszym dziesięcioleciu panowania Zygmunta Starego. Szkotów, jak wiadomo, bywało w Polsce mnóstwo, opowiadaniem zaś o nich zdążyliśmy już na śmierć zanudzić obywateli Glasgow z przyległościami. Tu wypada tylko wymienić Szkota, burmistrza Starego Miasta w Warszawie, o którym wspomina Rajnold Przeździecki, nie podając jednak nazwiska, lecz tylko datę /1691/, i opisując jego dom. Zdaje się, że nazywał się on Cramer.

W owym czasie lekarzem Sobieskiego i wychowawcą dzieci

królewskich był, co prawda tylko przez rok, Bernard OConnor. Musiał mieć wiele kłopotu z królem naszym, gourmandem i gourmetem nad gourmetami. To nic, że lubił ogromnie ziemniaki, rzecz gorsza, lubił dostarczane przez chytrych Gdańszczan ciężkie wina, homary i ostrygi. Ach, gdyby nie to, pożyłby co najmniej o rok dłużej! /O ostrygach i ich roli w stosunkach polsko-angielskich w ciągu wieków będzie jeszcze mowa/.

Ilość Anglików, a raczej już Brytyjczyków w Polsce mnoży się z biegiem lat, za pierwsze zaś małżeństwo mieszane wypada uznać pp. Jędrzejostwo Morsztynów, ona née Katarzyna Gordon, dama dworska Marii Ludwiki.

*

Lecz zabrnąwszy aż tak daleko, bo pod koniec XVII w. muszę się cofnąć, aby przyrzeć się rzeczy od drugiej strony. Nie pomnę już kto, może Dobrzycki, może Brückner, może kto inny, Grodecki raczej, nie Taszycki, podkreślają twardo, że pierwszy Polak-kronikarz, bł. Wincenty Kadłubek, był w jakichś stosunkach naukowych z Anglią, że w początku XIII w. korespondował z jakimś Anglikiem. Rzecz jasna, że dzieła Erazma Ciołka cieszyły się powodzeniem i że studiowano je w Cambridge do późnych lat XV w. O poselstwie Jana Dantyszka do Anglii pisano sporo. Naprawdę zwał się on „von Hoefen“, urodził się w Gdańsku, matka zaś jego była mieszczanką z Pucka. Wspaniała patriota i wielki Polak! Gdy zamiast pseudonimu „Dantiscus“ musiał używać nazwiska, podawał je po łacinie w brzmieniu „a Curiis“. Był autorem wiersza „Na wojsko niemieckie, uciekające przed Polakami“. Zręczny dyplomata, umiał pozyskać sympatię króla Henryka VIII i, co ważniejsze, kardynała Wolseya. W 1522 r. do takiej furii doprowadził sukcesami swymi posła krzyżackiego, Dietricha Schönberga, że ten potłukł herby polskie, umieszczone nad gospodą Dantyszka.

Dantyszek musiał mieć dobre kontakty w Londynie, skoro jeszcze w 1545 r. pisze do niego kanonik Stanisław Górski, donosząc o „wielkiej“ chorobie piewszej żony Zygmunta Augusta i prosząc o pomoc: „Mówią, że król angielski ma moc leczenia tej choroby darem swego poświęconego pierścienia; jeśliś o tym słyszał, donieś mi lub też królowi, albo raczej staraj się dostać ten pierścień“. W dwa dni po tym liście królowa umarła. Pierścień nie mógł dojść na czas.

Ponad te ciekawostki grubo bardziej interesujący jest cytowany już swego czasu przeze mnie w „Wiadomościach Polskich“ list Zygmunta Augusta do wielkiej królowej Elżbiety, w którym król przestrzega ją przed wysyłaniem inżynierów i sprzętu na podstawie jakiegoś „lease and lend“ do Moskwy, gdyż może „się to obrócić na zgubę chrześcijaństwa i Europy“. Mądry, przemądry był nasz król! Nb. szczególnie

kult dla Elżbiety żywił Stanisław August, czego wyrazem jest /było?/ popiersie monarchini w jednej z sal Łazienek.

O poselstwie Ossolińskiego i jego wspaniałej mowie, wygłoszonej 11 marca 1620 r. w sprawie, jak zawsze, niedoszłej pomocy Anglii dla Polski pisano per longum et latum. Wystarczy może zacytować słowa: „Któż bowiem jest ślepy na to, że tyran — jak o tym dawno już poprzednicy jego zamyślali — po to chce zdobyć nasz kraj, leżący na drodze do wszystkich europejskich królestw, obficie wszelkie zboża rodzący i wszystko, co niezbędne jest do stworzenia wielkiej armii i floty, aby, posiadłszy niewyczerpane śpichrze dla swej armii i zbudowawszy flotę, dzięki której zawładnie bałtyckim Sundem, mógł w końcu dostać się na ocean i tak, przy pomocy dwu flot jak dwu skrzydeł, od mórz północnych i południowych równocześnie nacisnąć i zgnieść Europę“.

Jakie dary przywiózł w 1555 r. poseł Wojciech Kryski, nie wiadomo, za to wiadomo, że w r. 1633 poseł polski, Jan Zawadzki, przywiózł w darze królowej angielskiej od Władysława IV dwa soroki soboli. Podług Łozińskiego królowa niestusznie dziwiła się, że synek naszego posła nie miał koszuli. Nieprawda! Miał, ale ówczesny strój polski wymagał tego, by żupan przykrywał całkiem koszulę: trzeba było chować kołnierz koszuli głęboko.

Skoro mowa o ambasadorach polskich w Anglii, warto wspomnieć, że ambasador angielski w Polsce z czasów Stanisława Augusta, Thomas Wroughton, cieszył się wielką popularnością. Miał on rezydencję w wynajętym przez się Marymoncie, którego ogrody otwierał niekiedy dla użytku warszawiaków. Ten sam ambasador był obecny przy zaczęciu budowy kościoła luterańskiego przy dzisiejszym pl. Małachowskiego w r. 1778. /Nb. Wroughton niezycliwie informował o Polsce turystę angielskiego, Wraxalla/.

Pałę się, by przejść do ostryg i podobnych szczegółów, które może zainteresują moich czytelników z hotelu „Rubens“, ale jeszcze coś, co zajmie napewno p. Mikołajczyka, czyli, jak się mówi dzisiaj, kawalera jałtańskiego. Ulubieńcem Londynu za czasów Jerzego IV był karzeł, Polak, Józef Borusławski. Czy zmuszano go do pisania jakichś oświadczeń, nie umiem powiedzieć, w każdym razie, choć niezmiernie małego wzrostu, potrafił on zachować wcale godną postawę. Nosił zawsze szpadę. Pamiętniki jego /ostatnie wydanie z 1906 r./ stanowić mogą odpowiednią lekturę dla p. Mikołajczyka. Szczegółów dowie się od dr. Retingera.

*

Ostrygi... Wspomniany już poseł Zawadzki przedstawił Anglię jako kraj bardzo gościnny, mówiąc, że „skoro się tylko wejdzie do domu, stawiają chleb biały i piwo“. Czy to był naprawdę chleb, czy też grzanki, nie wiem, sądzę jednak, że

Zawadzkiemu dano raczej toasty. Ostrygi jadł w Anglii następny poseł polski, Andrzej Rej. W sierpniu 1637 r. wyładował on w Harwich, gdzie była centrala „Eastland Company”, z której filią spotykamy się w Gdańsku chyba już za Kazimierza Jagiellończyka. /Skoro mowa o Kazimierzu Jagiellończyku, trzeba dodać, że był on pierwszym, a może i jedynym królem polskim, który otrzymał „order podwiązki”. Nadanie tego orderu przez Henryka VI łączy się z jakimiś planami w sprawie Gdańska, który zawsze bardzo żywo interesował Anglię. Sporo szczegółów polsko-angielsko-gdańskich znaleźć można w zbiorowej, wydanej przez Stanisława Kutrzebę, książce „Historia Gdańska”. Wracajmy jednak do ostryg i do Reja. Polacy skompromitowali się bardzo z chwilą, gdy na stół wyjechały ostrygi. „Nasi początkowo wzdragali się przed tą nową potrawą, ale zachęceni zaczęli wieść wojnę z ostrygami, które niełatwo chciały się znaleźć w żołądkach” — pisze Rej.

Na odwrót, zrazy polskie znalazły amatorów w Anglii dość wcześnie, bo w drugiej połowie XVIII w. Bigos polski zaczęto jadać w Anglii dopiero w czasie wojny obecnej, ale był to tylko akt hipokryzji: Anglicy raczej udawali, że jedzą, niż jedli naprawdę.

*

Tak, ale ja piszę coś jakby polsko-angielski bigos. Czyli wreszcie trzeba przejść do rzeczy. Jeśli wspomniałem na wstępie, że ośmusetstronicowa, szkolna historia Anglii wspomina o Polsce aż pięć razy, dodać wypada, że np. „The Cambridge History of Poland”, obejmująca czas od 1697 do 1935, zawiera kilka solidnych rozdziałów napisanych przez Anglików, więc przez W. F. Reddaway, J. H. Rose’a, H. M. Hyde’a, J. H. Penson, lorda Kenneta i in. Czyli coś niecoś wiedzą o nas pewni Anglicy, i słowo „Polska” nie jest dla nich pustym dźwiękiem.

Polacy, przebywający podczas wojny w Szwecji, wypuścili jakiś tomik o polonicach w Stockholmie, Uppsali i t.d. Polacy, przebywający w Szwajcarii, spisali się znakomicie. Np. Stanisława Liberka „Les Polonais au Pays de Vaud”, to książka nie tylko zajmująca, ale wartościowa. Przedstawia ona dzieje naszych wzajemnych stosunków od czasów bardzo dawnych, bo sięgających Władysława Hermana, aż po dzień dzisiejszy. Ten sam autor wydał „L’amitié polono-suisse au cours des siècles”, Leopold Wellisz dorzucił interesujący przyczynek na temat pobytu Mickiewicza w Lozannie. Wyszła też z inicjatywy Tow. Polskiego w Lozannie praca o Henryku Opieńskim. Polacy, przebywający w Persji, wyszperali jakieś szczegóły polsko-perskie z czasów Zygmunta III, Władysława IV, Sobieskiego i t.d., ponadto dowiedzieliśmy się, że Polak, Izydor Borowski, był generałem perskim i że zginął przy oblężeniu Heraru w r. 1828. W dalekich Indiach, w setną

pięćdziesiątą rocznicę konstytucji 3 maja, więc w r. 1941, wyszedł tomik „India and Poland“, poprzedzony słowem wstępnym Rabindranath Tagore, prezesa Tow. Indo-Polskiego w Kalkucie. Pośród wielu autorów, którzy złożyli się na ten tomik, tylko jedno nazwisko jest polskie; p. Maryla Falk, reszta, to nazwiska brzmiące najbardziej egzotycznie, więc np. Sir Sarvapalli Radharkrishnan, profesor uniwersytetu w Benares, pisze o „Poland and the Ideal of Svarajya“, Bramatha Nath Banerja napisał artykuł „Eternal Poland Shall Be Free“, i t.d. i t.d., tomik zaś uzupełniają fragmenty Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego w przekładzie na hinduski.

My? Jak na ilość emigrantów-nie smolarzy dorobek nasz przedstawia się raczej ubogo w znaczeniu jakościowym, choć broszur wydaliśmy całe sterty. Mniemam, że oprócz opracowanego częściowo przed wojną okresu reformacji jest jeszcze wiele, wiele dziedzin właściwie nietkniętych. Jednakże w naszych pismach, nawet w prasie codziennej, znajdzie się mnóstwo przyczyneczków, z których od biedy można by sporządzić jakąś całość, daleką od doskonałości czy choćby od dokładności, ale zajmującą. Pisał ktoś np. o pobycie Stanisława Augusta w Londynie, ktoś o zakupach dzieł sztuki dla króla, którego agentem w tych sprawach był niejaki Desenfans. Pisano o galerii w Dulwich, której zawiązkiem były nie wykupione przez Stanisława Augusta obrazy. Pisał, na samym początku naszej kwarantanny czy piatiletki, Karol Estreicher o szczegółach, dotyczących pobytu Słowackiego w Londynie. Pisano oczywiście o Śniadeckim w Anglii, o Kościuszcze w Bristolu, o Czartoryskim, o Niemcewiczu i jego rozpaczliwych próbach nawiązania kontaktu ze szlacheckimi lordami, pisano o Worcellu. Pisano o Walewskim na tle Londynu. Za dużo pisano o nieszczęsnej Klementynie Sobieskiej, którą wyduszono jak cytrynę z pestkami. Przybyło sporo wiadomości o Szkotach w Polsce. Tu, w Anglii, wielu z nas po raz pierwszy przeczytało śliczny wiersz Daniela Naborowskiego /pierwsza połowa XVII w./, p.t. „Na oczy królowny angielskiej“. Geneza tego wiersza nie jest zbyt jasna, ponieważ Naborowski, nie podając imienia, pisze o królownie angielskiej, „która była za Fryderykiem, falcgrafem reńskim, obranym królem czeskim“, podczas gdy z relacji, dotyczących podróży Janusza Radziwiłła, w którego orszaku był poeta, wynikałoby, że wiersz odnosi się do królowny Elżbiety, niedoszłej żony Władysława IV, a siostrzenicy Karola I, elektorówny palatyńskiej. Pisano o Burkem i jego pochwałach na temat konstytucji 3 maja. Pisano o poetach angielskich i ich wierszach na temat upadku rozmaitych naszych powstań. Pisano także i przeróżne głupstwa. Np. o tarczy polskiej, posłanej przez Jagiełłę po zwycięstwie grunwaldzkim katedrze Canterbury. Tarcza ta pochodzić ma z połowy XIV w. . . . Nie najgorzej

wypadły artykuły o Pawle Edmundzie Strzeleckim i o jego odkryciach w Australii. O Łaskim pisano sporo. O Williamsie Bruce pisał prof. Kot.

Pisano o podróżniku z końca XVII w., Morisonie, który ostrzega: „... w ogólności jednak radzę każdemu obcemu podróżnikowi, przebywającemu w Polsce, unikać jak najstaranniej zwady ze szlachtą polską, szczególnie jeśli nie ma po swojej stronie również przynajmniej dwóch czy trzech szlachciców polskich“. Pisano o...

Oczywiście, to wszystko na razie przedstawia się jako bigos, i to jako bigos, któremu potrzeba jeszcze wielu dodatków, aby smakował. Ot np., gdyby ktoś z wojskowych zainteresował się karierą słynnej książki ojca artylerii, Kazimierza Siemienowicza, „Ars Magna Artilleriae“, wydanej po angielsku w. r. 1727! Pisze o nim sam autor „Robinsona Crusoe“! Tłumacz powiada: „The authority of Casimir Siemienowicz has been formerly, and is still, as it were sacred among Pyrobolists and Fire-Workers... he is allowed to be the father of sound and intelligent Pyrobolists“. Jest to przekład z wydania francuskiego, zawiera zaś w rozdziale, mówiącym o pociskach, także i wyrażenie polskie, mianowicie „kule ogniste“.

Czeka nas teraz jakiś dziwny „lull“ po, jak mówią, zakończeniu wojny w Europie, sądzę więc, że również ktoś z wojskowych, noszących do dziś dnia długie buty do konnej jazdy po Londynie, mógłby opracować dzieje nazwy „Polish boots“, zmienionej następnie na „Wellingtony“.

Jeśli wśród nas jest jakiś piwowar, mógłby opracować pierwsze próby fałszowania piwa angielskiego w Polsce, o czym wspomina m. in. Kitowicz. Musiało to piwo być inne niż dzisiaj, bo miało pianę, z czego wielka wynikała „nieprzyzwoitość“ zwłaszcza gdy trafiło ono do bufetu sejmowego, i to do bufetu „na stojąco“ „... nieprzyzwoitość była między posłami piwo butelkowe, wtenczas będące w guście, musujące jak angielskie, albo też w rzeczy samej angielskie... to w ręku niesprawnego służalca, albo też filuta otworzone, z butelki musując gdyby z sikawki, po głowach i sukniach jakiego, poruszyło bliskich do ucieczki, a stąd do zamieszania i śmiechu całej izby, z przzerwaniem nieraz mowy oratora, mianowicie kiedy filut hajduk, trzymając w jednej ręce, jakoby nie mając sposobu do zatkania, z umysłu tam z nią uciekał, gdzie było ciałniej“.

Prócz tych tematów, albo szczegółów detektywistyczno-obyczajowych, jak udział Anglika Taylora w sprawie Dogrumowej /rzekomy zamach trucicielski na króla czy też na wuja królewskiego/, albo coś z gatunku „la vie galante“ czy „scandaleuse“, więc fakt, że ambasador angielski w Petersburgu, Sir Charles Hanbury Williams, wprowadził młodego Poniatowskiego do alkowy Katarzyny — otóż, prócz takich tematów, są inne wątki, o wiele poważniejsze. Dla przykładu

poruszam sprawę wpływu Johna Locke'a na pewne projekty, dotyczące Żydów w Polsce, czego objawem jest m.in. broszura Mateusza Butrymowicza: „Sposób uformowania Żydów polskich w pożytecznych krajowi obywatelów“. Dzieła Locke'a tłumaczył na polski ks. Cyankiewicz w drugiej połowie XVIII w. gdy przywędrowały do nas także dzieła Hume'a. Butrymowicz jest zdecydowanym przeciwnikiem rasizmu, domaga się, by Żydom zabronić używania odrębnego ubioru, i żąda, by państwo rozciągnęło opiekę nad szkolnictwem żydowskim. Uważa on, że religia mojżeszowa w zasadzie jest identyczna z religią chrześcijańską, dusza zaś ludzka, to czysta karta, którą dopiero zapisuje wychowanie, otoczenie i inne czynniki zewnętrzne (Rousseau!).

Sądzę, że tubylców zainteresowałaby interwencja polskich katolików w sprawie katolików angielskich, równie, jak na odwrót, interwencja Jerzego I w sprawie skazania na śmierć burmistrza i dziesięciu protestantów-obywateli toruńskich za ekscesy antyjezuickie w r. 1724.

Czeka na monografistę anglomania polska, wyrażająca się może najsilniej u ks. Czartoryskiej, która przywozi do Polski „trawkę z grotu Fingala“ i jakieś kawałki krzesła Szekspira. Anglomanię tę ośmieszyla i Mickiewicz i Fredro.

Kończę te notatki w drugi, już spokojny, dzień obchodu zwycięstwa. I myślę sobie, że powinniśmy także opracować jakieś, bodaj krótkie studium o naszych prawdziwych przyjaciółach-Anglikach. Szkoda, że umarł kardynał Hinsley! Szkoda, że umarł Chesterton! Obaj wypełniliby straszliwą próżnię, obaj mogliby uderzyć w ton, którego bezskutecznie oczekujemy w literaturze, w publicystyce, w polityce brytyjskiej, tak straszliwie jałowej, tak suchej jak pieprz, tak przyziemnej, tak obojętnej na nasze nieszczęście. Ach, gdyby żył Chesterton! Wdzięczny mu jestem do głębi serca za słowa, które poświęcił Krakowowi i Polsce, za słowa, które dzisiaj brzmią w szczególnie aktualny sposób:

„... jest on siedzibą kultury na pograniczu barbarzyństwa. Miasto, podobnie jak i naród, jest jak gdyby strażą przednią, a wrażenie kontrastu jest tego rodzaju, jaki sprawiają przylądki i wyspy u ostatniego krańca ziemi. Równowaga umysłu, zwana filozofią, jest tutaj utrzymywaniem się w równowadze na skraju przepaści. Wielki dar cywilizacji, zwany nauką, i jeszcze większy dar cywilizacji—zdolność posługiwania się nauką w sposób lekki—zrównoważone są na tym miejscu z jakimś niebezpiecznym wdziękiem. Niemcy, którzy nie posługują się nauką w sposób lekki, i barbarzyńscy Słowianie Wschodu, którzy nie posługują się nią wogóle, naciskają na ten eksperyment, kruchszy i subtelniejszy, całym ciężarem bardziej martwej odeń masy“...

Zygmunt Nowakowski.

Londyn 1887 roku, który tak oczarował naszego wyimaginowanego przyjaciela, — pożegnaliśmy go dopiero co gdy zjadał smaczne śniadanie u Brook'sa, — był bardzo różny od dzisiejszego. Całe ulice i dzielnice znikły a inne zmieniły się niemal nie do poznania. Baker Street była wówczas brzydką, ale godną ulicą; po obu jej stronach stały marne domki oraz sklepy czysto lokalne. W wielu z tych domków mieściły się t. zw. pokoje umeblowane, a Baker Street stała się sławna w związku z Sherlock Holmesem, który tam mieszkał z wszędobylskim Watsonem. W ostatnim dziesiątku lat ub.w. Amerykanie i prowincjali stale prosili policjanta na służbie, by pokazał im dom, w którym mieszkał Sherlock Holmes. Na Baker Street znajdował się i po dziś dzień się mieści sklep mebli Druce'a, którego właściciel był zamieszany w głośny proces księcia of Portland. Bardzo podejrzana dzielnica londyńska, znana jako „Seven Dials“, zniknęła, a jej miejsce zajął obecnie Cambridge Circus. Był to labirynt brudnych uliczek, ruder, dziedzińców i zaułków, zamieszkałych przez najuboższą ludność i wszelkiego rodzaju nocne i niebieskie ptaki. Dzielnica ta była głośna jako centrala handlarzy gołębi i ptaków, psów, kotów i oswojonych królików. Jeszcze bardziej, być może, zmienił się Strand i jego okolice. Po lewej stronie, idąc w kierunku City, znajdowała się Lowther Arcade z jej licznymi sklepami zabawek, prawdziwy raj dla dzieci. Trochę dalej mieścił się Exeter Hall, gdzie się odbywały liczne uroczystości kościelne, łącznie ze sławnymi synodami majowymi, kiedy to cały Strand był wypełniony klerykami wszelkich stopni, rozkoszującymi się doroczną frajdą. Tam, gdzie się obecnie znajdują Aldwych i Kingsway, istniał labirynt ciasnych uliczek, z których niejedna — jak np. Hollywell Street i Wych Street — miała bardzo złą opinię. Były tam też brudne, ciemne, małe księgarenki, w których można było nieraz znaleźć cennego białego kruka, i studenci i bibliofile często je odwiedzali. W niektórych z tych księgarni uprawiano podejrzany handel wydawnictwami pornograficznymi, narkotykami i wszelkim nielegalnym towarem. Obydwa „Law Courts“ w stylu wiktoriańskiego gotyku nie były jeszcze wzniesione, a stara niehigieniczna ruderka więzienia Newgate była nadal w użytku. Clare Market służył jeszcze jako hale targowe, szpital zaś Chrystusa nie był jeszcze przeniesiony do Harsham.

Wiele spośród tych zmian stanowią niewątpliwie zmianę na lepsze, ale zburzenie uroczego „Quadrant“ u Regent Street, dzieła wielkiego Nasha, było zbrodnią nie do wybaczenia. Londyn nie jest i nigdy nie był pięknym miastem. Ale miał on

* Z książki „Close of an Era“ (Londyn, Hutchinson, 1945/).

dwie śliczne ulice: Piccadilly i Regent Street. Jedna jest obecnie zeszpecona beznadziejnie, i wszystko się robi by zrujnować drugą. W r. 1887 War Office znajdował się na Pall Mall — zapomniałem już kiedy został przeniesiony. Wiele miejsc rozrywkowych zniknęło, w tym siedem teatrów — Terry's, Strand, Opéra Comique, Olympic, Princess's, Imperial i Toole's — ten zajmował plac, na którym obecnie stoi szpital Charing Cross. W owych czasach również kwitnęły cyrk Henglera i Królewskie Akwarium. Zniknęło też wiele modnych wówczas restauracji, jak np. St. James's, Globe, Dieudonné's, Gaiety i Continental. Ta — na Lower Regent Street — była ulubionym lokalem prostytutek, które tłumnie się tam zbierały nóżnym wieczorem w nadziei, że znajdą klienta lub przynajmniej, że ktoś im zafunduje kolację. Gdy knajpa się zamykała, policjant wyprowadzał je po ojcowsku na ulicę, tkliwie przeprowadzał je przez bardziej ruchliwą część Piccadilly i opuszczał dopiero, gdy były dobrze na drodze do Pimlico i ulic dokoła Fulham Street, gdzie wiele z nich mieszkało. W czasie tych pochodów wyglądały raczej jak pensjonarki z jakiejś gorszej szkoły w drodze do domu z kościoła. W owych czasach Piccadilly aż do Bond Street i cała dzielnica teatralna były zalane prostytutkami, podobnie jak wylot na Piccadilly Shaftesbury Avenue, gdzie nie było podówczas teatrów: była to obskurna i raczej podejrzana ulica, na której grasowali cudzoziemcy, tak zresztą jak i Soho, której małe francuskie restauracje nie były jeszcze odkryte przez wielki świat. Wardour Street była zajęta przez handlarzy antykami, z których większość stanowili Żydzi. Termin „Wardour Street“ oznaczał sfałszowane antyki.

W r. 1887 istniały jeszcze stare spokojne hotele w rodzaju tych, których opisy znajdują się w powieściach Dickensa: Golden Cross koło dworca Charing Cross, Morley's, bardzo arystokratyczny Long's Hotel na Bond Street i Cox's na Jermyn Street — wszystkie one znikły od dawna, ale wiele z obecnie kwitnących gospód i jadłodajni istniało już wówczas zwłaszcza w okolicy Fleet Street, jak np. Cock Tavern, George, Cheshire Cheese, Simpson's, — wszystkie były wówczas małe i wygodne, — a także parę handeleków, z ich prywatnymi gabinetami, podobnymi do przedziałów III kl. w pociągach.

Wiele charakterystycznych cech ulic z dziewiętego i ostatniego dziesiątka lat ub. w. już nie istnieje. W owych czasach ulice londyńskie nie były dobrze utrzymane i gdy deszcz padał, były nieprawdopodobnie brudne; nieraz, gdy się chciało przejść przez ulicę, trzeba było przeskakiwać albo wpadać w rzekę cuchnącego błota. Na wszystkich wielkich ulicach znajdowali się specjaliści zamiatacze, którzy za pensa lub dwa wymiatali przejścia dla swych klientów. Na dworcach i na rogach wszystkich większych ulic stali czyścibuci w czerw-

nych kurtkach i spiczastych czapkach, wołając: „Oczyścić Sir, tylko pensa, Sir“. Istnieli wówczas również wszędobylscy chłopcy, uzbrojeni w miotełki i łopatki, którzy biegali za powozami, zbierając cenne łajno końskie. Trzymały się też niektóre zwyczaje wsiowe. W St. James' Park można było jeszcze nabyć szklanek mleka prosto od krowy, której właściciel mieszkał o miedzę od królewskiego pałacu, w Stockwell istniało gospodarstwo nabiałowe, a w Brixton można było chodzić na sianokosy, jeśli komuś przyszła fantazja. Inną wielką przyjemnością było oglądanie w okolicy Covent Garden, gdy się wracało do domu późną nocą, jak wielkie wozy zajeżdżały do hal, naładowane kwiatami, owocami i warzywami. Inny czysto wiktoriański widok, który zawsze mnie zachwycał, to straże pożarne pędzące w konnych zaprzęgach. Rumaki ich były wspaniałe, lśniące i czyściutkie, a całość — znacznie bardziej podniecająca od podobnego widoku dzisiaj. I ugaszono wówczas pożary ze zdumiewającą szybkością.

W owych czasach Londyn miał więcej i lepsze dzienniki. Rano wychodziły „Times“, „Morning Post“, „Daily Telegraph“, „Standard“, „Chronicle“ i „Daily News“; wieczornych dzienników było osiem: „Pall Mall Gazette“, „Globe“, „St. James's Gazette“, „Westminster Gazette“, „Evening Standard“, „Evening News“, „Star“ i „Echo“. Dzienniki poranne miały objętość od 12 do 24 stron i były naogół — a z wieczornych także „Pall Mall Gazette“ i „St. James's“ — na znacznie wyższym poziomie literackim niż dzisiaj. Ówczesne dzienniki nie drukowały podpisanych artykułów czy recenzji. Dzisiaj czyta się ceny podawane wówczas w ogłoszeniach z poczuciem żałości: najlepszy węgiel Wallsend — używany przez samą królową Wiktorię — kosztował 22 szylingi i 6 pensów; „vin ordinaire“ w dobrym gatunku 13 i pół szylinga za 12 butelek. Bilet I kl. do Nowego Jorku linią holenderską kosztował 10 funtów, a w kabinie de luxe na statku Red Star Line 20 funtów; w hotelu I kl. nad morzem pokój z całkowitym utrzymaniem kosztował 3 i pół gwinei tygodniowo, a w pensjonacie gwineję. Niektóre ze szkół dla chłopców, które reklamowały się w pismach, były aż podejrzanie tanie. Tak więc, jakaś szkoła w Anglii północnej pobierała tylko 20 funtów rocznie, włączając w to również cenę podręczników i prania, a inna szkoła w Essex — tylko 30 funtów na tych samych warunkach. Nie było wówczas ogłoszeń wielkich sklepów, jeszcze bowiem nie istniały. „Mr. Harrods“ na Brompton Road — wówczas tylko szosie podmiejskiej — był niewielkim sklepikiem, miejscem zakupów mieszkańców Knightsbridge i South Kensington. Ale ówczesne sklepy choć małe były dobre, i warto było zarówno je oglądać jak odwiedzać. Pełno było wówczas uroczych małych starych sklepów, jak Friburg and Treyers, Lock's, Berry's i Birch's.

Mniej ujmującą cechą ulic ówczesnego Londynu była ogromna ilość pijanych mężczyzn i kobiet, na których wieczorem przechodzień natykał się po całym mieście: leżeli po bramach, ślaniali się wrzeszcząc i piejąc, wymiotując po rogach ulic lub też w drodze do komisariatu.

Londyn był bardzo brudny. Węgiel był jedynym środkiem opału i oświetlenia, i nie zabrano się jeszcze do zagadnienia zadymienia. To też w wilgotne, bezwietrzne dni zimowe była nieraz bardzo gęsta mgła, niekiedy tak nieprzenikniona, że dzisiejszy tak dobrze nam znany black-out wydałby się nam w porównaniu zaledwie półmrokiem. Złe zapachy i odory dusiły, oczy bolały od dymu, a twarze pokrywała sadza. Chłopaki, noszące latarki jakby z XVIII w., — dziwaczne postaci w łachmanach i o zachrypniętych głosach, — nagle wyłaniały się z tych stygijskich mroków i ofiarowywały przechodniom, że doprowadzą ich do celu podróży. Koleje miejskie, jak Inner Circle, — bo głębokich kolei podziemnych jeszcze nie było, — były mało co lepsze. Dworzec na Baker Street miał rozmiary prowincjonalnej stacyjki — zaledwie dwa perony — i był prawdziwym piekłem. Orfeusz nigdy by nie odważył się tam wstąpić; nawet — a może zwłaszcza — by odnaleźć tam swą żonę. Lecz Grecy nigdy by nie wymyślili takiego świata podziemnego; było to piekło średniowieczne, a nie pogańskie.

A jednak, patrząc wstecz, ten brudny, zakopcony Londyn był miastem dziwnie przyjemnym i przyjacielskim. Był on miastem domów rodzinnych, „a city of homes“, że użyję zwrotu nadużywanego przez Amerykanów, reklamujących plusy nowo budowanych miast. Stare nawoływania uliczne jeszcze nie wymarły. Wiosną i latem słyhać było głośnie krzyki sprzedawców kwiatów, a o każdej porze roku sprzedawców gorących bułeczek, specjalistów od ostrzenia noży, naprawiania rondli, imbryków, krzesel i t. d. W zimowe popołudnia zapalacze lamp biegali po zamglonych ulicach, słyhać było dzwonki sprzedawców ciastek, nie mówiąc już o włoskich kataryniarzach z ich nieodłączną małpką. Stary „Punch and Judy“ stanowił rozkosze mniej wybrednych dzieci dziewiętego dziesiątka lat ub. w. Trzeba za to przyznać, że podróże były wyjątkowo niewygodne. Wagony nie miały korytarzy, nie było też umywalni ani wagonów restauracyjnych. Grzejniki przy nogach stanowiły jedyne źródło opału, nawet w najzimniejszą pogodę, a jeżeli chodzi o posiłki, trzeba było albo polegać na prowiantach wożonych z sobą w koszyczku, albo też wybiegać do bufetu na większych stacjach, gdzie pociąg zatrzymywał się parę minut, ryzykując spóźnienie.

Ponieważ nie było wówczas „service flats“ czyli mieszkań z usługą, — a w ogóle mieszkań było bardzo mało, — osoby niezamężne, nie mające własnych domów, musiały mieszkać

w pensjonatach. Pensjonaty w Mayfair i w dzielnicy St. James's były naogół własnością byłych kamerdynerów, gospodyń w wielkich domach, i z reguły były dobrze prowadzone i bardzo komfortowe. Tańsze pensjonaty były mniej przyjemne. Całe ulice w Bloomsbury i dokoła Baker Street i Victorii zajęte były przez pensjonaty. Umeblowanie było zwykle ohydne, a kuchnia podła i monotonna. Jeszcze trochę lepiej wyglądały salon i jadalnia, a właściciele bardzo wyniośle traktowali pojedynczych lokatorów. Oczywiście, były i doskonałe pensjonaty z wygodnymi pokojami i dobrą kuchnią, ale trudno było je znaleźć. Właścicielki pensjonatów — na równi z teściowymi — były ulubionym przedmiotem kawałów w kabaretach dziewiętego dziesiątka lat ub.w. Nic zresztą dziwnego, że właściciele pensjonatów mogli stracić wiarę w dobroć natury ludzkiej. W pensjonatach mieszkały tłumy starych panien, zgorzkniałych i szpetnych, przeważnie zmuszonych do rachowania się z każdym pensum i w stanie nieustannej wojny ze swymi gospodyniami; młodzi zaś ludzie niekiedy zwiewali nie zapłaciwszy rachunku; to też właścicielki, które się tylko z tego wynajmowania pokoi utrzymywały, nie miały łatwego życia. Spotkałem kilka doskonałych takich gospodyń, zwłaszcza jedną, starą Szkotkę, która większą część życia spędziła na służbie w „wielkich domach“ i — rzecz dziwna — zdołała zachować dla nich wielki szacunek. Bez pudła zawsze odgadywała stanowisko społeczne każdego kto przyszedł mnie odwiedzić; znała Debretta (herbarz angielski — *przyp. tłum.*) lepiej niż Biblię i była też pierwszorzędną kucharką. Miała dziwną namiętność do kotów. Mogła paść na swe zreumatyzowane kolana przed kotką, przyglądać się jej i mizdrzyć się przed nią. Miłość Antoniusza do Kleopatry, Hero do Leandra, Chrystusa do kościoła /anglikańskiego, bien entendu/ nie mogła być większa niż jej pasja do kotów. Nie interesowała się za to kurzem, choć w moim pokoju było trochę naprawdę dobrych starych mebli. „Jak się kurz zbiera w tych starych domach, proszę pana!“ — zwykła była mówić, trącając zlekka końcem swej miotełki moje biurko. Niestety, koty nie były jedyną jej miłością, i w końcu whisky stało się powodem jej katastrofy. I mojej także, albowiem było mi u niej bardzo wygodnie. Biedne stare gospodynie. Lecz koło obróciło się o 180°. W owych dniach myśmy byli ich panami, dziś one nas tyranizują.

Percy Colson,
przełożył Krzysztof Nienaski.

SZEKSPIR W MALARSTWIE POLSKIM



MAURYCY GOTLIB:
Szajlok i Jessyka



STANISŁAW WYSPIAŃSKI:
Honorata Leszczyńska w roli
Katarzyny /„Ugłaskanie sekutnicy“/



ALEKSANDER GIERYMSKI:
Hamlet

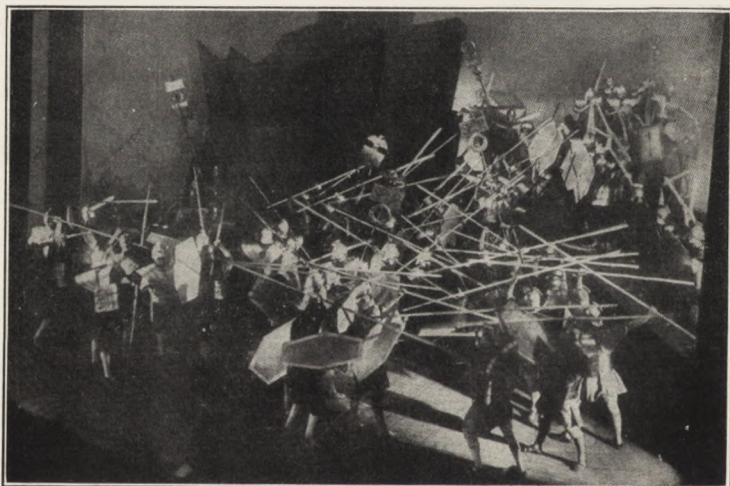


STANISŁAW WYSPIAŃSKI:
Ludwik Solński w roli Chudogęby
/„Wieczór Trzech Króli“/

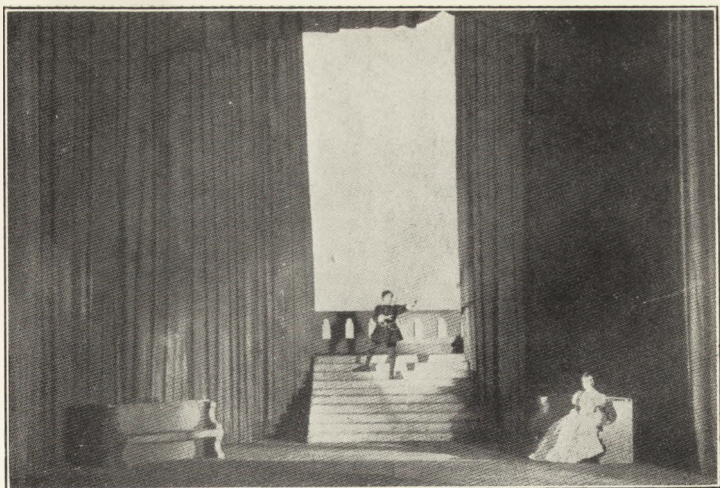
SZEKSPIR NA SCENACH POLSKICH



Teatr Polski: „Juliusz Cezar“ /reżyseria: Aleksander Zelwerowicz,
dekoracja: Wincenty Drabik/



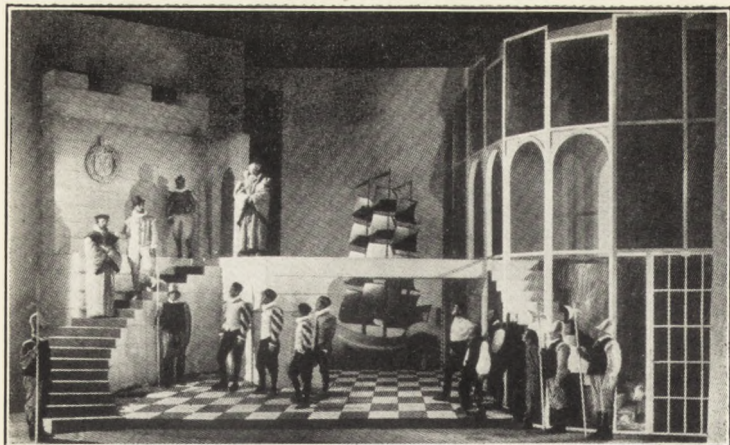
Teatr Polski: „Juliusz Cezar“ /reżyseria: Leon Schiller, dekoracja:
Karol Frycz/



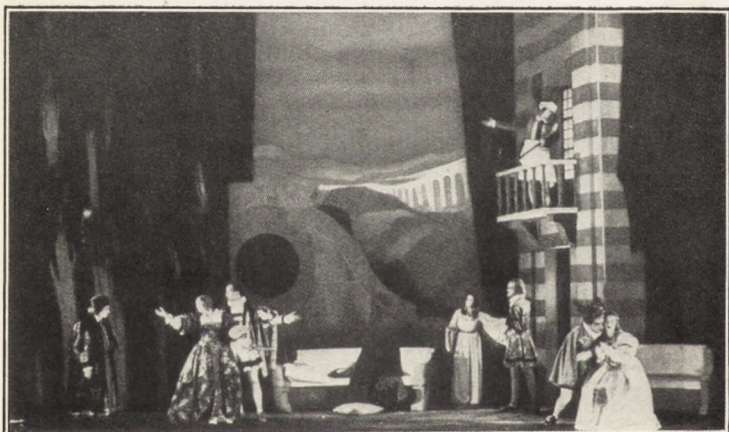
Teatr Polski: „Hamlet“ /reżyseria: Arnold Szyfman, dekoracja:
Karol Frycz/



Teatr Polski: „Romeo i Julia“ /reżyseria: Arnold Szyfman, dekoracja:
Karol Frycz/



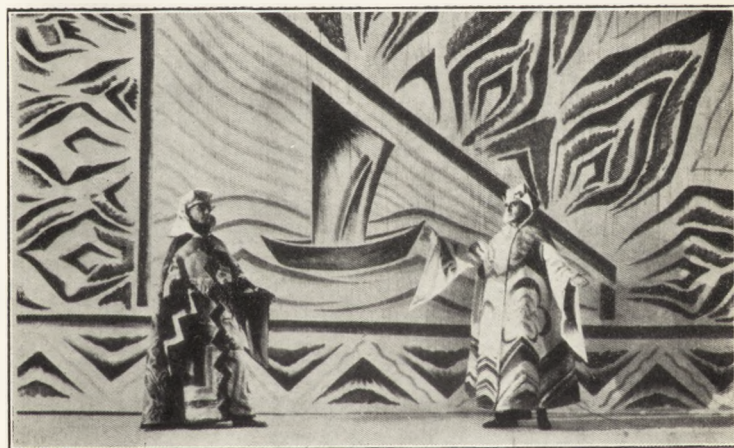
Teatr Polski: „Miarka za miarkę“ /reżyseria: Janusz Warnecki,
dekoracja: Władysław Daszewski/



Teatr Polski: „Kupiec wenecki“ /reżyseria: Ryszard Ordyński,
dekoracja: Stanisław Śliwiński/



Teatr Polski: „Wiele hałasu o nic“ /reżyseria: Leon Schiller i Karol Borowski, dekoracja: Wincenty Drabik/



Teatr im. Bogusławskiego: „Opowieść zimowa“ /reżyseria: Leon Schiller, dekoracja: Andrzej Pronaszko/

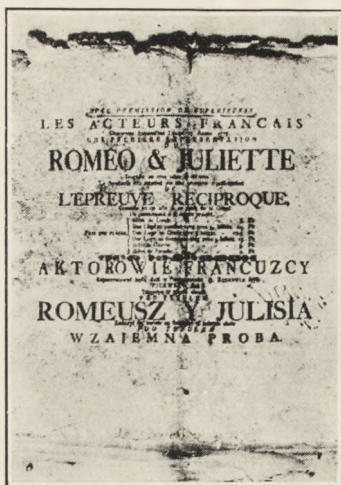
AFISZE, RĘKOPISY, PRZEKŁADY

SMIERC JULIUSZA CESARZA TRAGEDYA.

LE JOUEUR
Komedyja Francuzka.

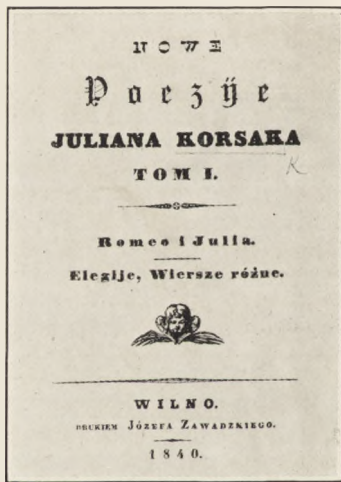
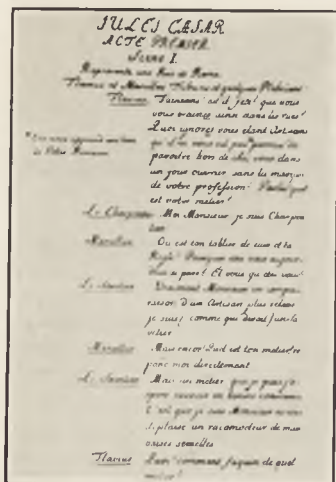
In Collegio Nobilium
Scholarum Piarum.

pod czas Karnawału
ROKU 1756.
REPREZENTOWANE.



AFISZ PRZEDSTAWIENIA
PRZERÓBK
„JULIUSZA CEZARA“ (1756)

AFISZ PRZEDSTAWIENIA
PRZERÓBK
„ROMEA I JULII“ (1778)



PRZEKŁAD „JULIUSZA
CEZARA“ NA FRANCUSKI PIÓ-
RA STANISŁAWA AUGUSTA

KARTA TYTUŁOWA POEZJI
JULIUSZA KORSAKA PRZE-
KŁADU „ROMEA I JULII“

Dział retrospektywny niniejszego tomu biblioteki „Wczoraj i Dziś“ poświęcamy Szekspirowi w Polsce. Umieszczamy naprzód kilka cenniejszych wyjątków z prac, Szekspirowi poświęconych, a potem dziesięć fragmentów z dzieł Szekspira w przekładach najwybitniejszych tłumaczy polskich, przy czym każdy fragment dajemy w interpretacji dwóch tłumaczy, dla umożliwienia czytelnikowi zestawienia i porównania. Bogate zbiory British Museum i Birmingham Public Library umożliwiły nam tę interesującą konfrontację tekstów, nie wszystkie jednak przekłady udało nam się uzyskać. Z dawniejszych tłumaczy brak np. Wojciecha Dzieruszyckiego, z późniejszych — Jarosława Iwaszkiewicza.

W POLSCE O SZEKSPIRZE

Nie mniejszym kultem otaczała Szekspira żona ks. generała [Adama Czartoryskiego], ks. Izabella z Flemingów. Mamy do tej czi szereg danych niezmiernie charakterystycznych tchnących duchem epoki. Mówią nam o tym przede wszystkim, zbiory „Świątyni Sybilli“ i „Domku Gotyckiego“. Ks. Izabella posiadała tego rodzaju pamiątki szekspirowskie, jak krzesło Szekspira, część drzewa posadzonego przez Szekspira, portret Szekspira. Możemy o tych przedmiotach przytoczyć sporo szczegółów, które zaświadczą, że Szekspir w domu XX Czartoryskich odbierał cześć i uwielbienie bez granic.

Krzesło Szekspira, znajdujące się dziś w Muzeum XX Czartoryskich, umieściła ks. Izabella najpierw w „Świątyni Sybilli“, później w „Domku Gotyckim“ w gabinecie na górze. Włożone w futerał brązowy, stało przed jednym ze stołów. Nabyła go do swych zbiorów ks. Czartoryska w czasie podróży do Anglii /1789–1790/ w miejscu mieszkania poety, a zatem w Stratford. Czas kupna tej cennej pamiątki da się dokładnie oznaczyć, a to na podstawie korespondencji księżnej; 26 maja 1790 r. pisze ks. Izabella: „Wyjeżdżam na trzy dni, aby zwiedzić kraj“; w czerwcu t.r. jest jeszcze w Londynie i pakuje rzeczy do powrotu. Była więc w Stratfordzie z końcem maja lub początkiem czerwca 1790 r. i tu, w domu rodzinnym Szekspira, nabyła część jego krzesła. Jak się to kupno odbyło, opowiedzą nam słowa samej ks. Izabelli.

„Każda pamiątka człowieka sławnego wzbudza ciekawość i uszanowanie. Będąc w Anglii, byłam w Stratford. Tam mieszkał Szekspir, tam umarł, tam dom jego do tego czasu stoi nietykany. W tym domu można widzieć pokój, w którym ostatnie lata przepędził. W przyłączonym planie całe rozporządzenie jego mieszkania jest wyszczególnione; tu tylko dadam, że wśród ściany pod literą G na planie naznaczonej

jest duża alkowa, w której z jednej strony umieszczony jest z okapem szafiasty komin a z drugiej naprzeciwko komina to krzesło, o którym tu mowa, w murze umocowane stało, ale tak blisko jedno drugiego, że siedzący na krześle łatwo mógł bądź lulkę zapalić, bądź ognia poprawić nie wstając z krzesła. Na tym krześle, przed tym kominem siadywał Szekspir, i to było jego ulubione miejsce. W tym zaciszu w ostatnich czasach spoczywał, tam przecierał i poprawiał swe dzieła, żył z przyjaciółmi i szczęśliwie przepędzał chwile. Po śmierci jego, to krzesło i ten kątek stały się celem uszanowania i ciekawości równie współziomków jak i cudzoziemców. Ja, siadłszy na tym krześle, w moim urojeniu widziałam przed sobą Julię i Romea, Mirandę, Desdemonę, Hamleta i Ofelię. Przypominam sobie inne jeszcze dzieła owego sławnego Szekspira, którego geniusz do wszystkich innych nie podobny, którego zapęd bystry i niepospolity byłby osiągnął doskonałości, gdyby nie gruba nieumiejętność wieku w czasie jego życia, która się stała do tego przeszkodą. Nim opiszę życie i rzadkie talenty Szekspira, muszę tu wspomnieć sposób, przez który dostałam krzesło jego, przy tym osobliwszy zapał dziewięcioletniej panienki, który nas zadziwił i rozrzewnił. Naprzód wyznać muszę, że za pierwszym spojrzeniem na krzesło Szekspira, przyrzekłam sobie, że je jakimkolwiek sposobem dostać muszę i do „Domu Gotyckiego“ przeniesione będzie. Pierwsza wprawdzie moja próba w tej mierze zupełnie odrzuconą była. Właścicielka domu, nie bardzo majątna, przełożyła nam, że oprócz przywiązania, które ma dla tej pamiątki, tyle dla niej drogiej, z powodu, że będąc sama z rodziny Szekspira, chciałaby ją uwiecznić, przy tym jeszcze, że ma z tego wielki zysk, każdy bowiem, kto dom jej odwiedza, drogo płaci najmniejsze ułamki i drzazgi odłupane z krzesła, które potem oprawiają w pierścionki i medaliony. Po długich sporach 200 gwinei ułatwiło trudności. Czuła wdowa o wszystkim zapomniała, z radością krzesło na pieniądze zamieniwszy, że zaś było wmurowane dość głęboko, musieliśmy użyć mularza, żeby przy wydobywaniu szkody nie zrobić. Tu wypada opisać panienkę, o której wyżej wspomniałam. Była to wnuczka właścicielki domu i krzesła. Wychowana w ustawicznym uwielbieniu Szekspira, miała go /że tak powiem/ za bóstwo, a przynajmniej za jestestwo jakieś nadludzkie, a zatem sądziła się być najszczęśliwszą, że była krewną jego. Pyszna tym blaskiem, którym sława Szekspira, podług jej mniemania, i ją okrywała, jedynie nim była zajęta. Umiała większą część dzieł jego na pamięć, ustawicznie je czytała, zawsze nowe w nich znajdując piękności. Słowem, pamięć Szekspira była dla niej źródłem zabaw i szczęścia. Ale gdy ta panienka, przed rokiem, po okropnej ospie słuch i mowę straciła i chociaż zapał nie mniejszy zawsze ją ożywiał, już czytać tylko mogła

Szekspira, bo słyszeć i mówić o nim nie było w jej mocy. Wszystkie moje obrady z jej babką z tej przyczyny uszły ją zupełnie. Spokojnie siedząc w pokoju, nie przewidywała, co się stać miało. Gdy mularz przyszedł do pokoju, pytała babki na migi, co będzie robił, a gdy domyślać się zaczęła, z największym na to krzesło skoczywszy zapędem, rękami i nogami a na ostatek i zębami trzymać go się starała. Jęki jakieś osobliwsze rozpacz jej dowodziły. Nakoniec krew się jej gębą i nosem puściła, i upadła koło krzesła bez sił i przytomności. Przyszedłszy do siebie, z najmocniejszym żalem, na migi wymawiała babce, że pieniądze przekładała nad to, co dla niej najdroższym być powinno, a trzymając się zawsze krzesła, pokazywała, że chyba z życiem jej go odbiorą. Nie wiedząc, jak uspokoić tę tkliwą duszę i ten zapał tak rozrzewniający, musieliśmy użyć pastora tamtejszego, który jej przedstawił, że babka uboga, tymi pieniędzmi zasilona, więcej wygód, a tym samym więcej zdrowia mieć będzie. Po długich sporach, zmęczona i zemdlona, przystała na koniec ze łzami na nasze prośby, lecz z tym warunkiem, że nogi przynajmniej od krzesła zostaną i że już potem będą jej własnością. Zgodziwszy się na to, pieniądze odliczyłam, krzesło zabrałam, a nogi zostawiłam tej młodej i czulej panience, którą pewnie nigdy nie zapomnę. To krzesło jest z drzewa, jak się zdaje, dębowego. Znać że bardzo i że długo używane było. Ta część, która zdobi „Dom Gotycki“, składa się z dwóch sztuk, to jest siedzenia i oparcia; obie są wprawne w brązowy stołek, na którym złote litery imię Szekspira składają. Ten stołek stoi w gabinecie ostatnim, przy samym oknie“.

(Shakespeare w Polsce. Teatr, dramaty i muzyka za Stanisława Augusta. II. Lwów 1925; str. 158-161/

Ludwik Bernacki.

Nikt zapewne dotkliwszą i boleśniejszą żalością nie rozdarł duszy ludzkiej. Nikt śmielszego pomysłu nie wprowadził na scenę. Winniśmy tu uczynić następującą uwagę. Królewicz, uwiadomiony od straży, że się duch jego ojca pokazał w rycerskiej zbroi z berłem w ręku, pośpiesza o naznaczonej porze ku tej stronie zamku. Dreszcz go natenczas przejmuje; zaciera ręce; mówi, że mu zimno. Ostre klima, późna godzina w nocy, nareszcie położenie tarasu zamkowego nad morzem, wszystko to kazałoby się domyślać, że Hamlet drży z przeziębienia. Ale nie tak jest w istocie. Kiedy Hamlet zaciera ręce, mówiąc do oficerów, „że mu zimno“, nie pochodzi to z klimatu, ale z bojaźni. Artysta, wykonywający rolę królewicza, powinien wymówić te słowa w taki sposób, żebyśmy się domyślili, że

drży od strachu; z oczekiwania, a nie z uczucia fizycznego zimna; dla powodów psychologicznych nie mógłby wtenczas doznawać na sobie skutków klimatu. Cała ekonomia tej sztuki nosi na sobie cechę nadzwyczajności, lecz nie masz tam nic przeciwnego naturze. Gete i Chasles wytłumaczyli w części charakter Hamleta; ale tylko w części. Obydwaj utrzymują, że cień ojca wprowadził go w stan pewnego obłąkania. Łatwo pojąć, że jestestwo nadprzyrodzone mogło sprawić taki skutek na umyśle skłonny do melancholii, aczkolwiek to obłąkanie należy rozróżnić od udanego, jakim Hamlet swój zamiar chciał potem osłonić. Nie miał on żadnej wiary, żadnego religijnego przekonania, że duchy pokazywać się mogą. Ze wszystkiego co mówi i czyni wnosić by raczej należało, że ta nadzwyczajna okoliczność wstrząsnęła tylko naturę umysłu sceptycznego, ale go nie obłąkała. Ironię, dziwactwo, dowcipowanie, filozoficzne rozumowania Hamleta, tęsknotę, niepokój i rozstrojenie jego duszy, wszystko to pojąć i wytłumaczyć można przez wpływ bezpośredni owej nadzwyczajnej okoliczności. Ale to nie wyjaśnia przyczyn postępowania Hamleta. Ani Chasles ani Gete nie tłumaczą, dlaczego Hamlet, mimo nieukróconą burzliwość swego charakteru, tak się ociąga z dopełnieniem włożonego na siebie obowiązku — z wykonaniem zaprzysiężonej zemsty? Dlaczego tyle czasu na próżno traci? Próżnomowstwo nie jest przywarą Szekspira; nic nie hamuje u niego postępu działania, które się zawsze przed oczami widzów rozwija. Dlaczegoż w tej tylko sztuce wszystko tak powoli idzie? Po co tyle scen, kiedy Szekspir bardziej niżeli inni pisarze wystrzega się tego wszystkiego co nie jest koniecznie potrzebne, a osobliwie próżnej gadatliwości? Po co Hamlet tak wiele rozprawia, kiedy by działać powinien? Dlaczego zabija swego stryja dopiero ku końcowi sztuki? Cóż mu przeszkodziło uczynić to zaraz na początku? Albo, jeżeli nie dowierzał duchowi, jeśli się chciał pierwaj przekonać o rzeczywistości zbrodni /zrazu bowiem obawiał się wpaść w sidła piekielnej zdrady/, czemuż tego nie uczynił tejże chwili, kiedy pomieszanie na twarzy króla, kiedy nagle jego wstanie z miejsca, przerywana mowa, gest i poruszenie podczas komedii, granej na dworze, widocznie zdradzały zbrodniarza?

Hamlet po wielokroć rozmawia z królem sam na sam; zawsze jest uzbrojony. Nic mu więc nie stawało na przeszkodzie. Z drugiej strony tego nawet przypuścić nie można, jakoby wszystkie sceny, w których występuje, były tylko środkiem rozciągnięcia poematu. Nie trzeba tego brać za popis dowcipu i filozofii królewicza, bo Szekspir, najgenialniejszy z pisarzy dramatycznych, nigdy się nie chwyta takich sposobów. Zdaniem naszym, inaczej jeszcze uważać by można charakter i rolę Hamleta. Nigdy on dokładnie zrozumiany

nie będzie, jeżeli wszystkiemu, co mówi i czyni, właściwej i naturalnej nie naznaczymy przyczyny; jeżeli tego wszystkiego nie odniesiemy do zamiaru, który jest niewidomą sprężyną tragedii, zasadą postępowania i rozmyślań królewicza. Hamlet postanowił uścić się z obowiązków zemsty, lecz w taki sposób żeby kara ściśle odpowiadała zbrodni. Zamiarem jego jest „odwet“. Mógł w każdej chwili uczynić to co na ostatku uczynił; lecz czekał najstosowniejszej pory. Zbrodniarz, którego sumienie niepokoi, winowajca pokutujący, a przynajmniej nowych nie dopuszczający się zbrodni, nie powinien być umrzeć w tym stanie, zdaniem Hamleta. Straszliwa logika! Czyżby kara odpowiadała zbrodni, gdyby posłał na tamten świat żałującego, dręczonego kaźnią sumienia? Skrucha i boleść na duszy mniej by go winnym czyniły. „Jak to /tak rozumuje Hamlet/, mój ojciec nagle umarł, po obiedzie, kiedy nikt o zbawieniu nie myśli: umarł w pełni grzechu; kto wie, jaką tam sprawę będzie musiał zdać z uczynków swoich; kto wie, „jak stoi rachunek jego duszy“ — podług wyobrażeń naszych nie najlepiej! A ja mam zabić jego mordercę w tej chwili, kiedy się modlił? Byłobyż to wet za wet?“. Ta jest myśl tragedii. Albo raczej: na tym zależy tragiczność tego poematu. Usiłowania Hamleta zmierzają nie do tego żeby zabić króla, ale żeby duszę jego w wieczne podać zatracenie. Chciał przywieść do maximum sumę jego zbrodni; postanowił czekać, póki się nie przebierze miara jego występków! Tak, żeby w niebie na przebaczenie tylu win miłosierdzia zabrakło. Na łonie rozpusty, albo w nowym krwawym zamyśle, albo przyprawiającego truciznę, postanowił oddać w moc złego ducha.

Tą myślą wiecznego zatracenia, podług wyobrażeń religijnych Hamleta zafarbowane są wszystkie jego postęпки i mowy; dlatego taka na pozór inkonsekwencja w jego działaniu; takie opóźnienie; taki głęboki smutek. W nic nie wierzył, ale potem prędko nawrócony do wiary przeraźliwym widzeniem, bardzo daleko chciał zemstę swoją rozciągnąć. Pod ten widok ujęte sceny tej tragedii, mają ścisły związek między sobą. Logika Hamleta bardziej przeraża, niżeli zbrodnia króla. A on sam, jeśli go z tego stanowiska uważać będziemy, jest potworem, mimo całej mądrości i filozofii swojej. Może niejasno myśl naszą wyłożyliśmy; inaczej jednak trudno wyrozumieć ten charakter. Niechby i tak było, zawsze pozostanie Hamlet trudnym do odgadnienia hieroglifem dramatycznym.

/Szekspir. Pisma. Lwów
1910; str. 357 – 360/

Maurycy Mochnacki.

PAN ORĘDOWNIK Prezentuję panu nowego naszego wieszca, pana Szekspira, a to pan Hogart, rysownik.

PAN TYGODNIK *do Szekspira* Ha! pan Szekspir... czytałem pana dramatyczne utwory... czytałem... olbrzymi talent!

PAN ORĘDOWNIK: Pismo nasze tak jest szczęśliwe, że go dziś liczy i posiada w gronie współpracowników.

PAN TYGODNIK *na stronie* Niewielka dla nas szkoda... poeta nienarodowy.

PAN ORĘDOWNIK *do Szekspira* Spodziewamy się nowego artykułiku.

SZEKSPIR: Artykułiku?

PAN ORĘDOWNIK Duch naszego pisma zapewne nie będzie przeszkodą? Pole zaś zostawiamy szerokie. O czymkolwiek pan napiszesz, będziemy radzi... byle rzecz narodowa...

SZEKSPIR *do Hogarta, który na paznokciu rysuje* Co ty rysujesz?

HOGART Twoją twarz, bo prawdziwie, że teraz jest dziwnie oryginalną.

SZEKSPIR Panowie, przyszedłem wam podziękować za ofiarowany mi przez was egzemplarz pisma waszego... Szanuję waszą pracę... wiele w tym piśmie jest pięknych rzeczy... a nad wszystko położę aforyzmy nowego naszego filozofa pana Trentowskiego, pełne poezji i energii. — Gdybym je był przedtem czytał, nie odmalowałbym w „Tymonie Ateńskim“ filozofa tak złymi kolorami, z takim psim gniewem na ludzi. Co do mnie, do pism czasowych nigdy nie piszę... i nawet nie pojmuję jak inni ludzie pisać mogą... Aby pisać, trzeba mieć coś pięknego przed oczyma imaginacji — rzecz rozwidniającą się stopniami, obszerną jak świat, pełną ruchu i życia...

PAN TYGODNIK Idei...

SZEKSPIR Idei?... ja nie wiem... ale ja bez żadnej idei piszę... Rzecz stworzoną nazywam pomysłem... z pomysłu wynikają naturalnie figury i charaktery — charaktery znów oddziałują na pomysł... jest zaś jakieś monotonne usposobienie duszy, która to wszystko harmonizuje i jedną barwą oblewa... tak naprzykład, że po napisaniu /ale po napisaniu, powiadam, nie przed/ dziwię się sam kolorystowi, który moje dzieła jedno od drugiego rozróżnia — a wytłumaczyć tego inaczej nie mogę, jak powiedziałeś mi, że mi się mój „Sen nocy letniej“ wydaje błękitnym i księżycowym... a np. „Makbet“ szarym i czerwonym obrazem.

PAN TYGODNIK: Wpływ duszy poetycznej... wpływ ja poetycznego na świat zewnętrzny...

SZEKSPIR Jak to wpływ mego *ja*?

PAN TYGODNIK Pan byłeś krwawy w duszy swojej pisząc „Makbeta“, i krwawość ta, przerażenie pańskie rozlało się na karty . . . a przeciwnie, melancholiczna duszy piosenka wtórowała stworzeniu „Nocy letniej“, stąd podmiot, czyli . . .

PAN OREĐOWNIK Daj pokój . . . widać, że nie lubi tego słowa *podmiot*, bo się zmarszczył jak gdyby go igłą ukłuto.

PAN TYGODNIK Pozwól mi skończyć . . . jemu właśnie brakuje nieraz uczucia . . . Nie jest to arcypoeta . . . żadnej nowej drogi nie otworzył — Marlow — i dziesięciu innych pisali przed nim dziesięciozgłoskowym wierszem tragedie . . . brakuje mu siły . . . ani on zdolny roztrzaskać pięścią czaszkę topielicy, ani też ma dosyć duszy, aby się rozrzewnić z piosenką dzwoniącą nad niwami . . .

PAN OREĐOWNIK Ja mu zaś to jedno tylko zarzucę, że nie narodowy. Urodził się Słowianinem, a czerpie raz gdzieś w Szkocji — drugi raz w Danii, to znów we Włoszech, to w Cyprze . . . Zamiast naszą staropolską duszę malować — on wyszukuje Bóg wie czego po świecie — więc co do dzieł jego niewiele o nich rokuje . . . ale felietonista będzie tęgi . . . zna ludzi . . . *do Szekspira* Przepraszam, że rozmawiamy z sobą, nie zwracając na niego żadnej uwagi . . .

SZEKSPIR Jestem do tego przyzwyczajony.

PAN OREĐOWNIK O czymże nam pan napisze felieton?

SZEKSPIR O sobie . . .

PAN OREĐOWNIK *na stronie* To trochę za śmiało powiedziane . . .

PAN TYGODNIK *na stronie* Zarozumiałość wielka *do Szekspira* Myśmy właśnie wspomnieli o tragedii „Makbet“ w naszym piśmie . . . Zdaje się nam, że autor mógłby więcej miejscowego kolorytu wylać na płótno artystyczne . . . Co do idei samej — zdaje się nam i takeśmy napisali . . . bo wszędzie, panie, jest u wielkich poetów idea . . . np. wybierzmy najmniejszą rzecz: „Farysa“ przez jednego z naszych arcymistrzów napisanego . . . farys jest to myśl . . . a priori rzucająca się w świat nie znany sobie empiryzmu, a stopniowe wymijanie . . . etc. . . . lecz wróćmy do Makbeta . . . zdaje mi się, że Makbet wystawia *wiedzę*, a jego żona jest uosobieniem *woli* . . . dwie te skojarzone władze . . . przez świat empiryzmu dążąc . . . do osiągnięcia ostatniego końca przeznaczeń . . . zakrwawić się muszą . . . lecz nie krwią cielesną, ale krwią ducha . . . Stary król Dunkan, ta ugruntowana na podstawie *jestem bo jestem* — idea, ten wiedzą i wolą skojarzoną istniejący na ziemi szczep.

SZEKSPIR Hogart . . . wstyd mnie bierze, ja o tym wszystkim nie myślałem . . . jeżeli się przyznam do niewiady, wezmą mnie za ostatniego nieuka . . .

PAN OREĐOWNIK *do pana Tygodnika* Widzisz, zaam-

barasowałeś go krytyką . . . on wie, że podług twego dowodzenia Banko, jako będący tylko nie przez *być* . . . ale przez *będę* . . . nie powinien był wcale zginać . . .

PAN TYGODNIK Tak, nie powinien był zginać . . . Banka śmierć jest wielką wadą w tragedii . . . zakończenie zaś wadą jest także . . . albowiem wiemy, że rzecz tylko odjemnie skończona, połową jest rzeczy w tej sferze, gdzie spekulacja musi całe kompletne mieć rozwiązanie. — Panie Szekspirze *uderzając go po ramieniu* więcej czucia! więcej zapału, więcej zidealizowanej natury, a staniesz w rzędzie naszych znakomych pisarzy, z serca ci tego życzymy.

SZEKSPIR *do Hogarta* Pokaż mi twój paznokciec . . .

HOGART A co?

SZEKSPIR Jak ty go zrobiłeś podobnym do żaby! dlaczego?

HOGART Mimowolne to jest podobieństwo; ale ponieważ w każdym dziele sztuki jest idea, więc i w tym jakaś idea być musi . . . słuchaj — kiedy Latona, niosąc na ręku dzieci swoje Apollina i Dianę, uciekała z Olimpu, wieśniacy, widząc że obarczona dziećmi bogini rzekę przeskoczyć usiłuje, jak zwykle grubiaństwem przeciwko piękności zrażeni i niechętni, z rydlami bronili jej przejścia . . . wtenczas bogini, podniósłszy oczy do nieba, modlitwą gorącą pozamieniała tych wieśniaków w żaby . . .

SZEKSPIR Do czegoż to zmierza? . . .

HOGART Zdaje mi się, że twoja matka, z tobą w pieluchach będącym, chciała przez Prosnę przeskoczyć, i dlatego ten jegomość tak jest do żaby podobny . . .

SZEKSPIR Karykaturzysto, Arystofanem trącisz . . . Ten pan ma prawo krytyki — a do mnie należy być cierpliwym . . .

PAN TYGODNIK Nie wiem coście panowie mówili do siebie, ale ucho moje odbiło się nieprzyjemnie o wspomnienie Dianny . . . Pan się nigdy nie śmiesz oddalić zupełnie od starego naśladownictwa, a rzucić się całą miłością ducha w poezję gminną — Ariel pana w „Burzy“ . . . jest to utwór piękny — ale jakże zimny!!! jak nie sympatyzujący z człowiekiem i z naturą! utwór to, który wyszedł z głowy, a nie przeszedł przez serce, nie skąpał się w krwi płomienistej uczucia . . . to też los jego wcale nas nie obchodzi . . . zimni jesteśmy czytając . . . nie unosimy się z kwiatów zapachem w sfery ideału, ani z rosą niebieską spadamy na kwiaty — daleko więcej wzrusza mnie utwór rytmiczny jednego z naszych arcypoetów . . .

/Krytyka krytyki i literatury.
Poznań 1891: str. 15-19

Oto dramat. Koriolan grzeszy pychą, trybuni zazdrością. On sprowadza na Rzym obcego nieprzyjaciela, oni zaburzenia lub wojnę domową, z której zewnętrzny nieprzyjaciół korzysta. On nawet, kiedy nie umiera w zbrodni i hańbie, umiera bez sławy, bo jedną zdradę może tylko drugą zmyć i poprawić; oni kończą w pogardzie, w zapomnieniu, tak że nikt o nich nie pyta i nie wie. Nad jednym i drugim stoi czysta godność i miłość ojczyzny i w goryczy serca próbuje poprawiać co zepsuli, ratować co zgubili, szczęśliwa, jeżeli jak Volumnia naprawić i zbawić może, choćby kosztem największych poświęceń.

Kto winniejszy? Tego pytania Szekspir nie stawia sobie wcale; dlatego zapewne, że ono rozwiązania nie potrzebuje. Dla prostego sumienia i zdrowego umysłu, jak dla katechizmu, który je dawno obok siebie postawił, pycha i zazdrość są równie złe w zasadzie i skutkach, tylko w sposobach działania jedna może być brzydsza od drugiej. Za Szekspira tylko stawiali to pytanie jego komentatorowie, a widząc, że Koriolan w jego sztuce jest dzielniejszy i szlachetniejszy od swoich przeciwników, wyciągali stąd wnioski, że Szekspir miał słabość do arystokratów i im pobrażał. Bardzo to ciasne pojęcie rzeczy: a Gervinus doprawdy zbyt wiele okazuje mu względu, kiedy je zbija. Mówi on, że kto by porównał Koriolana wielkiego nie z jego małymi przeciwnikami, ale z wielkimi bohaterami wolności, jak Brutus i Cassius w „Cezarze“, przekonałby się, że Szekspir jest bezstronny. Ten dowód może nie zdołałby dowieść, że poeta nie miał skłonności do arystokracji, a do demokracji wstrętu, bo w „Cezarze“ właśnie spiskowi są arystokratami nie z krwi tylko ale ze swoich przekonań i dążeń, a demokratą jest Cezar i lud. Ale lepszy i prawdziwszy dowód jest w „Koriolanie“ samym. Że ten podnosi się ze swojego upadku, to nie stronnictwo poety temu winna, ale historia. A że pomimo pierwotnej szlachetności jego natury, jego wina nie jest zasłonięta, ani zmniejszona, ani uniewinniona, dowodzi cały przebieg sztuki, dowodzi każde niemal słowo poety o bohaterze, dowodzi jego koniec. Wszakże nie o to chodzi, kto się pocie więcej lub mniej podobał, tylko o to, czy on, jakiegokolwiek mogły być jego upodobania, widział i napisał prawdę o wszystkich.

Prawda jest: i w Koriolanie, i w trybunach, i w ludzie, i w tym patrycjacie miękkim i biernym, i w każdej postaci z osobna od bohatera aż do rzemieślnika lub pachołka; prawda stwierdzona całą historią Europy, która w tym dramacie o jednym Koriolanie poznaje wszystkich, jakich widziała ludzi mszczących się na swojej ojczyźnie, i wszystkich tych, którzy przez zaburzenie i nieład kiedykolwiek do władzy dążyli, dochodzili i przy niej się utrzymywali. A nauka z tej prawdy dla Koriolanów nie jest mniej surowa niż dla trybunów. Jest

zaś tak głęboka, że z tym dramatem w rękę i objaśniając każde jego słowo, można by zrobić obraz, rachunek sumienia i psychologiczną diagnozę tak arystokracji jak demokracji. Machiavel mógłby do tej poezji dorobić komentarze tak mądre i wysnuć z niej tak nieśmiertelne prawdy, jak to zrobił z pierwszą „Dekadą“ Liwiusza.

Ile jest piękności i życia, wzniosłego pathos i trafnego dowcipu, jakim ideałem tęgości a zarazem męskiej serdeczności jest sam bohater, jaka jest wielkość w jego matce, jaka bystrość w odkryciu i przedstawieniu tego bohaterstwa mniejszego, pozornego, które jest tłem natury Aufidiusza, ile rozumu, humoru i wdzięku ma w swoim lekkim egoizmie i sceptycyzmie nieoceniony Meneniusz, jak trafnie a jak bezstronnie odmalowany jest lud, jeden z głównych aktorów dramatu, o tym dowiedzieć się można tylko z czytania, i jeszcze z czytania, z zagłębienia się w przedmiot, z porównywania go z tym co się wie z historii lub własnymi oczyma w świecie widzi.

Ale jedno jeszcze zostaje pytanie: czy jest tam co polskiego i jakie do naszych dziejów lub natur przystosowanie? Naród, w którym pierwiastek oligarchiczny znaczył i działał więcej może niż w każdym innym, a który przy tym przez jakąś niepojętą sprzeczność swojej natury był pełen zawsze demokratycznych, egalitarnych instynktów, taki naród musi zapewne znaleźć w tym obrazie wiele do siebie podobieństwa. Nasze sejmy, nasze konfederacje, nasze najzbawienniejsze polityczne myśli i nadzieje udaremnione przez podejrzliwość, przez intrygi, przez zazdrość, te poznaje się w tej sprawie doskonale. Jednego tylko w historii naszej dojrzeć nie można, to Koriolana. Ze wszystkich, którzy się na Rzeczypospolitej mścili rokoszem lub służbą u obcych panów, Lubomirski jeden mógł się przynajmniej za skrzywdzonego udawać, miał przynajmniej pozór; wyrok wydany na niego był słuszny, bo istoty czynu i powodów do niego nie brakło, ale nie było materialnych dowodów, więc nie był prawny w formie. Z tym wyjątkiem, który z naszych tak zwanych Koriolanów doznał krzywdy, niesprawiedliwości? Żaden. Byli, prawda, skrzywdzeni ciężko, byli tacy, którzy za krzywdę swoją mieli prawo wołać o pomstę do Boga: Żółkiewski, kiedy mu zazdrość nie dała środków do prowadzenia wojny, a potwarz do niej popchnęła. Skrzywdzony był Czarniecki, przez całe życie krzywo widziany, odsuwany od tej buławy, którą dostał za późno; i Zamoyski, kiedy pod Pskowem stojąc, woła o posiłki, które mogą raz na zawsze Polskę od Rosji obronić, a których mu zawiść nie daje; skrzywdzony był i Stefan i Władysław i Jan Kazimierz, wszyscy skrzywdzeni naprawdę. Ale ci się nie mścili. Tamci zaś, którzy im przeszkadzają, a sami obrażeni czy o kamienicę, czy o urząd nieotrzymany, czy o inny podobny dobry powód,

robią rokosz lub spisek z postronnymi państwami, tacy nie są wariami miana Koriolanów, bo on miał przynajmniej jakąś krzywdę, jakąś okoliczność łagodzącą i tłumaczącą, a oni żadnej. Oni byli wszyscy od niego gorsi. Nie; Koriolana naprawdę nie było w naszej historii.

Trybuni bywali.

/Szekspir w Polsce. Rozprawy i sprawozdania. IV. Kraków 1898; str. 388–390/

Stanisław Tarnowski.

Rzecz, która rozstrzygająco wpłynęła na bieg mego życia, zaszła przed laty trzydziestu kilku. Dokładnej daty nie umiem podać. Byłem wtedy chłopcem zdrowym, rozwijającym się normalnie, może na swój wiek trochę przedwcześnie rozbudzonym umysłowo i może trochę rozpieszczonym. Poznana niedawno tajemnica składania liter w wyrazy popychała mnie ku książkom, które wywierały na mnie dziwny urok—rys zresztą łatwo zrozumiały u dziecka, chowającego się w mieście i nie posyłanego do publicznej szkoły.

Wieczór zimowy dłużył się niezwykle. Wyczerpałem wszelkie rozrywki i płałałem się z kąta w kąt, nudząc matkę, aby mi coś wymyśliła. Była zajęta i niecierpliwiła się nieco, lecz ja z właściwym dziecku egoizmem nie przestawałem jej dręczyć. Wreszcie widocznie wpadła na sposób zapewnienia sobie na czas jakiś spokoju: „Nie przeszkadzaj mi teraz, a kiedy skończę robotę, dam ci za to do oglądania takie obrazki, jakich jeszcze nigdy nie widziałeś“.

Poskutkowało. Zapowiedź oddziaływała silnie na moją wyobraźnię. Wszakże tyle widziałem już obrazków — a przecie te mają być czymś odmiennym, czymś bez porównania piękniejszym! Czas włókł się jeszcze powolniej, ale ja nie odzywałem się ani słówkiem. Aż przyszła chwila gorąco oczekiwana. Matka wyjęła z biblioteki cztery duże tomy w suto złożonych oprawach i położyła je przede mną.

Tego dnia musiano mnie parę razy wołać do wieczerzy i parę razy napędzać do spania, bo wypraszałem sobie „jeszcze kwadransik“, „jeszcze pięć minut“, „jeszcze minutkę“. A gdy złożyłem na poduszce rozpaloną głowę, długo nie mogłem zasnąć. Tańczyły mi przed oczyma dziwne postacie — to trzy potworne wiedźmy, wsparte na długich kijach i wpatrzone w dymiący kocioł; to szpetny garbus klęczący z odkrytą piersią przed piękną kobietą, która trzyma w ręku nagi miecz i jakby namyśla się, czy ugodzić; to starzec z ogromną siwą brodą, wyciągający ręce ku zygzakom błyskawic i wijący się u jego stóp chłopak w czapce z dzwoneczkami; to cała komnata trupów — między nimi jeden, którego głowa zwiesza się bezwładnie ze stopni tronu powyżej jakby toczącej się jeszcze

korony, i drugi o szlachetnych rysach, w czarnym stroju, podnoszony z ziemi przez głęboko strapionego mężczyznę, który obraca głowę ku wejściu i ku wchodzącym w stal zakutym rycerzom; to postać człowieka z osłą głową, z którym rozmawiają drobne, wdzięczne istotki, siedzące na łodydze kwiatu; to rozparty w krzesle stary grubas i stojący przed nim smukły, młody człowiek, obaj o wyrazie twarzy, równocześnie nacechowanym pewnością siebie i figlarnym — i całe mnóstwo obrazów, równie silnie podniecających dziecięcą wyobraźnię.

Na drugi dzień pierwszą moją czynnością było zobaczyć, czy cudowne księgi leżą tam, gdzie je zostawiłem wieczorem. Odniesiono je do szafki. Ale znałem już miejsce, więc zaraz nie bez trudu wszystkie cztery wywlokłem. I nie pozwoliłem się już pozbawić prawa ich przeglądania.

Pamięć wzrokowa umożliwiła mi przede wszystkim sprawdzenie, czy najbardziej fascynujące z zapamiętanych rycin dalej są gdzie były. Potem zacząłem systematyczne badanie, zwracając uwagę i na zadrukowane kartki. przekonałem się, że jest w tym wszystkim jakiś system. Litery podobne były do znanego mi alfabetu, a jednak nie takie same — jakby powykęcane. Na okładce każdego tomu wypisane były u góry — na szczęście tymi samymi głoskami, jakich mnie uczono, „Shakespeare's Werke“, i przeczytałem to, naturalnie ściśle wedle zasad polskiej ortografii. Te same dwa wyrazy rozeznałem w dłuższym napisie na jednej z pierwszych kartek każdej książki i tym sposobem nauczyłem się paru gotyckich liter, bodaj że podobnie odcyfrowano hieroglify egipskie. Zauważyłem potem, że te same postaci powtarzają się w szeregu następujących po sobie rycin. Stwierdziłem, że w obrębie tomów istnieją drobniejsze całości, że po dużej, całą stronę zajmującej ilustracji, która ma u dołu napis w łacińskim alfabecie, następuje kilka stron pokrytych jednakowym drobnym drukiem, a potem idzie druk inny, nieco większy i upstrzony gęsto jeszcze większymi, grubiej odbitymi wyrazami. Stwierdziłem dalej, że co kilka kartek jest na górze strony niewielki obrazek, pod obrazkiem dwa ogromne wyrazy, a drugi z nich stale się powtarza. Czytając mylnie ozdobne gotyckie A na jego początku, przyszedłem do przekonania, że brzmi on „Kufzug“.

Długo i głęboko rozmyślałem nad tym wszystkim, aż poczułem, że sam nic nie wymyślę, i udałem się do matki. Dowiedziałem się wnet, co to jest dramat i akt. Dowiedziałem się również, że cztery cudowne tomy zawierają dzieła Szekspira i że choć dzieła te przetłumaczone są na język niemiecki, Szekspir był Anglikiem i pisał po angielsku. Zachęcony tymi wyjaśnieniami, zacząłem pytać się o znaczenie poszczególnych rycin, ale matka nie objawiła ochoty do dalszego wykładu: „I tak byś nie zrozumiał. Poczekaj, aż podrośniesz“.

Pozostawiony samemu sobie, nie dałem jednak za wygraną. Moją ulubioną rozrywką stało się wiązanie obrazków w cykl dziwacznych historii. Najtrudniej dawały się do nich dostosować małe symboliczne ryciny, umieszczane przez ilustratora najczęściej na końcach aktów. Rozmyślałem nad nimi często całymi godzinami. Stąd tak głęboko wryły mi się w pamięć, że dziś jeszcze staje mi przed oczyma to lis, szczerzący zęby nad koroną i berłem, to ociekające krwią, sztylety, to składające się do strzału amorki. Nareszcie ktoś, litując się nad moimi daremnymi dociekaniem, wyjaśnił mi z wielkim mozolem, co to jest symbol, i wywołał przewrót w mej interpretacji.

Znajomość języka niemieckiego, której tymczasem nabywałem, umożliwiła mi zrozumienie tu i ówdzie jakiegoś wyrazu, a nawet i zdania. Zaczęło się prostowanie błędów w mych fantastycznych historiach szekspirowskich — i naturalnie wpadanie w nowe błędy. Trudno mi dziś uzmysłwić sobie, ile żmudnej pracy naiwnego, niewygyminastykowanego umysłu włożyłem w te ryciny. Ale tym miłsze i bliższe stawały mi się z dniem każdym.

Aż pewnego razu nastąpił przełom. Było to kiedyś z początkiem przedgimnazjalnych wakacji. Wpadł mi w ręce przysłany na okaz pierwszy zeszyt zaczynającego wychodzić nowego *polskiego* wydania Szekspira. Zawierał blisko trzy akty „*Romea i Julii*“. I tu nie wszystko było zrozumiałe, ale treść dawała się mniej więcej uchwycić. Niestety, rodzice nie zaprenumerowali wydawnictwa. Wnet jednak odkryłem je w domu stryja i zacząłem pilnie wyzyskiwać każdą bytność u niego. Złapano mnie zatopionego w Szekspirze i uznano, — zresztą zupełnie słusznie, — że to lektura dla mnie przedwczesna. Pamiętam, jak oblewałem ten zakaz gorzkimi łzami. Byłem naogół dzieckiem posłusznym, lecz w tym wypadku pokusa przerastała mą cnotę. Z bijącym sercem czałem się koło fortepianu, na którym leżał Szekspir, czekałem cierpliwie na każdą chwilę, kiedy towarzystwo, zajęte rozmową, nie będzie na mnie zwracało uwagi, chwytałem ukradkiem dawno upatrzony zeszyt, ukrywałem go pod szkolnym mundurkiem i bez zbyteń pośpiechu, z niewinną miną wynosiłem się w najskrytszy kąt ogrodu. Fascynację powiększył teraz urok zakazanego owocu i urok pierwszej tajemnicy dziecka.

Wkrótce potem w domu innych krewnych odkryłem całego Szekspira w starym wydaniu Kraszewskiego. I tu były ilustracje — ale o ileż mniej piękne od owych dawniej poznanych obrazków Sir Johna Gilberta! Miały jednak i dobrą stronę — można było czytać pod pozorem oglądania.

Jedna po drugiej waliły się w gruz owe wysnute z rycin historie, ustępując miejsca prawdziwym, a choć główny urok miały dla mnie losy bohaterów Szekspira, to przecież przy sposobności coraz częściej zwracałem uwagę na charaktery,

na dziwne, obce tło obyczajowe, na polot i dowcip, nawet na piękne wystowienie.

Przed końcem drugiej klasy, znałem już wszystkie dramaty, ale i nadal nie ustawałem w ich studiowaniu. Były dla mnie jak gdyby świątynią, do której chroniłem się przed codziennym życiem. Były talizmanem, którego posiadanie stawiało mnie gdzieś wysoko ponad kolegami i rówieśnikami, może nie znającymi Szekspira nawet z nazwiska. Były szkołą myślenia i estetycznego odczuwania. Były mikrokosmem, mówiącym mi o życiu i ludziach.

Znałem je po polsku. Po jakimś czasie zacząłem czuć coraz wyraźniej, że to lub owo zdanie w przekładzie jest jakieś ciężkie, niezgrabne, niezdarne. Zacząłem tęsknić za oryginałem. . .

/Szekspir. Lwów
1931; str. 5-9/

Władysław Tarnawski.

Z „HAMLETA“ (III, 1)

HAMLET

Już czas nieporuszonym wybierać obliczem
Śmierć, albo gorzkie życie, z czego więcej niczem.
Bóstwo! jeżeli jesteś, oświeć moją wolą,
Mamli starzec, pod srogą schylony niedolą,
Więdnąć dłużej lub skończyć okropne rozpaczy?
Cóż jestem, kto mnie trzyma i co się śmierć znaczy?
Jest to koniec ucisków, jedyne schronienie,
Po długich troskliwościach spokojne uśpienie?
Sen taki wszystko morzy. Lecz po tym zaśnieniu
Często nam o straszliwym mówią przebudzeniu,
Grożą nam, że z rozmysłem gubiących się marnie
Wieczne na innych światach czekają męczarnie.
O! niepewny przechodzie, o! wieczności sroga!
Na samo twe wspomnienie serce ziębi trwoga.
Och! któż by mógł bez ciebie znosić życia nudy,
Szalbierskich święcenników uwielbiać obłudy,
Niestatecznych kochanek adorować błędy,
Płaszczyć się przed odęciem noszących urzędy
I pokazywać duszę cierpiącą głęboko
Przyjaciołom, nieszczerze zwracającym oko! ?
W takich byłyby razach słodkie wielu mety;
Lecz skrupuł samobójcze hamuje sztylety,
Broni leczące smutek piersiom zadać rany,
Z rycerzy bojaźliwe czyniąc chrześcijany. . .

/Sofiówka i wybór poezyj.
Kraków 1925; str. 88-89/

Przełożył Stanisław Trembecki (1730-1812).

*w głębi pojawia się
HAMLET
z książką w ręku
idzie galerią
czytając w książce
przestaje czytać
nie odrywa jednak oczu od książki
poczyna myśleć*

Co dzień, gdy zbliża się ta sama pora,
co dzień tąż samą idę jedną drogą,
i myśl tak samo co dzień lot rozwija.

Tu nie szpieguje myśli cudza myśl niczyja;
wszystko tak samo, jako było wczora:
myśli bez czynów zmienić nic nie mogą.

*nagle zamyka książkę
stanowczym ruchem głowy
nie podnosząc jednak głowy*

Od czynów muszę zacząć byt, by myśl rozwinąć.

*wstępuje właśnie na próg sali
opuszcza rękę z książką*

Wstąpiłem w sali próg — — — wrócić — czy — minąć?

Tu państwo myśli mej ma się poszerzyć — !

W co wierzę, ma się stać! — W siebie mam wierzyć!!

głośno

Być albo nie być!

*wciąż z głową pochyloną
rękoma wskazuje próg
ciszej*

Tu się zatrzymuję.

*wznosi głowę
i nagle przestępując próg tej wielkiej izby
mówi*

A więc iść, jako los me drogi wiedzie!

A więc iść przebój i wbrew i oporem

I przejść! — jak wicher — — przejść i raz zakończyć,

wszystkiemu kładąc kres. — Toż ma być PRAWDA,

że Sen-wieczysty kres istotnie kładzie

sercu, co bije i żądy, co trawi —

kres upragniony w mniemaniu, że zbawi?

Śmierci? — Sen to tylko: — Straszne Objawienie.

A!!! Oto Świata Są: — — twoje sumienie — — —

Stój na tej drodze, człowieku pod jugiem,

gnij się w zniewadze, krzywdzie i niedoli,

sprawiedliwości darmo chciej od ludzi,

pozwól na miłość płuć, deptać pierś twoją,

łam się, przeklęty, w poddańczej niewoli

upokorzenia — — — — tej jednej granicy

nie wolno lekko przejść. — Tego się boję!!
Ha, ha!! Byliby już wolni z ciężaru!
Ciężar im gniecie kark i wagą nuży —
ten jeno jeden Strach! — To, że nie wiedzą,
co tam — — — za grobu żelazną zaporą
czeka ich jeszcze — tam — skąd nikt nie wraca,
by żył w spólnocie krwi, kości i ciała —
jeno, by dusza marą się błąkała
na pośmiewisko — nim grzechów nie zmyje; —
to — to, co tak zazdrośnie grób nam kryje;
to — to czego się nigdy nie dowiedzą:
co dalej za tą ludzkich zagród miedzą.
Raczej wiadome złe przyjąć ich zmusza;
niżli to brzemień brać — — co weźmie dusza.
Rozważni! — Mądrzy! — Arcymądrzy tchórze!
Najbezpieczniejszy — tutaj stanie niemy:
poza tą wiedzą — dalej — nic — nie wiemy.

*przestaje mówić głośno
w myśli*

Już myśl o śmierci — za samą śmierć starczy.
I teraz! patrzeć! na ich dalsze życie,
jak gną się trwogą w swych grzechów brzemieniu
i Sąd najsroższy mają — w swym sumieniu!

/The Tragicall Historie of Ham-
let. . . Kraków 1905; str. 158-156/

Przełożył Stanisław Wyspiański (1869-1907).

Z „KRÓLA JANA“ (III, 1)

PANDULF

Puste są wszystkie formy, czcze rozkazy,
Prócz tego, który prosto się sprzeciwia
Przyjaźni z Anglią. Dalej więc do broni!
Rycerzem bądź Kościoła, lub inaczej
Kościół, ta matka nasza, rzuci kłatwę
I przeklnie kłatwą macierzyńską ciebie,
Zbuntowanego syna. Królu Francji!
Łatwiej ci ująć język węża, łatwiej
Uchwycić łapę lwa uwięzionego,
I ząb tygrysa, który pościł, niżli
W pokoju trzymać rękę, którą trzymasz.

KRÓL FILIP

Mogę oddzielić rękę, nie zaś wiarę.

PANDULF

Robisz więc wiarę wrogiem wiary, jakby
W domowej wojnie stawisz swą przysięgę

Przeciw przysiędze, język swój naprzeciw
Swego języka. O! wykonaj śluby,
Którymiś wprzód się zobowiązał Niebu,
To jest, Kościoła wiernym bądź rycerzem.
Coś potem przysiągł, przysiągłeś przeciwko
Sobie i przeto spełnić sam nie możesz.
Bo jeśliś przysiągł złe uczynić, złe to
Złem być przestaje, skoro robisz dobre.
I znowu kiedy czyn do złego zmierza,
Nieczynność cnotą będzie, i w niej prawda.
W mylnych zamiarach środek jest najlepszy
Znów się pomylić: bo gdy pierwsze krzywe,
Nowym skrzywieniem musi się sprostować;
Fałsz się uleczy fałszem, tak jak ogniem
Studzi ogień w żyłach rozpalonych
Oparzonego. Wszystkie śluby swoje
Stwierdzisz religią; a przeciw religii
Sam się sprzysięgasz. Przeciw tej świętości
Dałeś przysięgę, którą się zaklinasz,
I klątwę nową dajesz w zakład prawdy
Przeciwko klątwie. — Gdy w wątpliwej sprawie
Przysięgasz, klniesz się tylko, że nie będziesz
Krzywoprzysięzcą. A inaczej, jakąż
Śmieszną igraszką byłaby przysięga?
Tu cóżeś przysiągł? — być krzywoprzysięzcą.
I będziesz wielkim, jeśli tylko spełnisz,
Coś im obiecał. Twój więc ślub ostatni,
Gdy go porównasz z pierwszym, nic innego,
Tylko bunt w tobie przeciw tobie. Tak więc
Piękny odniesiesz tryumf, jeśli trwalszą
I szlachetniejszą część samego siebie
Uzbroisz przeciw zgubnym tym podszeptom.
Za tę część lepszą masz modlitwy nasze,
Jeśli je przyjmiesz; jeśli nie, wiedz o tym,
Że klątwa nasza spadnie i na ciebie
Tak ciężko, że jej otrząść nie potrafiisz,
Ale w rozpaczy zginiesz pod jej wagą.

(Arcydzieła dramatyczne. Tom
II. Wilno 1845; str. 75 – 77)

Przełożył Józef Korzeniowski (1797–1863).

*

PANDULF

Czczym jest głos wszelki, a rozkaz bezprawnym,
Co się przyjaźni z Anglią nie sprzeciwia.
Więc za broń! Zostań Kościoła rycerzem!
Albo niech Kościół, nasza matka, rzuci

Przekleństwo matki na krnąbrnego syna.
Snadniej ci, Francjo, wziąć węża za język,
Lub lwa szczwanego za morderczą łapę,
Bezpieczniej za ząb głodnego tygrysa,
Niż trzymać w zgodzie rękę, którą trzymasz.

KRÓL FILIP

Łatwo dłoń zerwać, lecz wiary nie łąco!

PANDULF

Więc czynisz wiarę wrogiem wiary samej.
Ślub niszczysz ślubem, jak w domowej wojnie,
A słowo słowem. O! ślub, któryś naprzód
Zaprzysiągł niebu, najprzód wypluć niebu,
To jest bądź wiernym Kościoła rycerzem.
Coś przysiągł później, wbrew sobie przysiągłeś,
I przeto tego spełnić ci nie wolno.
Bo jeśliś przysiągł co złego uczynić,
Złem to nie będzie, gdy w dobre obrócisz.
Podobnież, kiedy czyn do złego wiedzie,
Prawdą jest, cnotą zaniechanie czynu.
Mylnych zamiarów najlepszym jest dziełem
Znowu się zmylić; droga ta, choć krzywa,
Daje się nowym skrzywieniem sprostować,
Fałsz jest lekarstwem fałszu, tak jak ogień
Studzi żar w spiekłych sparzonego żyłach.
Tylko religia uświęca przysięgi,
Ale tyś przysiągł przeciw niej, tę właśnie
Zdradzając świętość, na którąś przysięgał
Dając przysięgę w zakład, że się zwrócisz
Przeciw przysiędze. W wątpliwym przypadku
Przysięgasz tylko, że przysięg nie złamiesz.
Inaczej, jakąż byłyby igraszką!
Cóżes tu przysiągł? Być krzywoprzysięzcą?
Będziesz, i wielkim, gdy wtóry ślub spełnisz.
Więc twe późniejsze przeciw pierwszym śluby
Są jakbyś wznosił bunt sam przeciw sobie.
Nigdy większego nie wygrasz zwycięstwa,
Niż gdy część stalszą, zacniejszą twej duszy
Uzbroisz przeciw tym zgubnym pokusom.
Do tej tu lepszej przemawiam tu cząstki.
Przyjm prośby moje. Jeśli nie, wiedz o tym,
Że spadnie na cię kara klątwy naszej
Tak ciężko, iż jej strząsnąć nie potrafisz,
Lecz umrzesz pod jej ciężarem w rozpacz.

Dzieła dramatyczne *William*
Shakespeare [Szekspira]. Tom
I. Warszawa 1875; str. 22/

Przełożył Stanisław Koźmian (1811–1855).

ROMEO

wchodzi

Kto rany nie odebrał, żartuje z żelazem.

Julia ukazuje się w oknie.

Lecz stójmy, co to w oknie błysnęło zarazem?

To wschód słońca, a słońcem są Juliji lica! . . .

Wnijdź, o prześliczne słońce, na zgubę księżyca:

Już ta bogini zbladłe odwraca jagody,

Ujrzawszy nimfę ziemską celniejszej urody.

Przestań być nimfą bóstwa zazdrośnego tobie:

Nimfy Dyjanny chodzą w zielonej żalobie:

Zieloność barwą głupców — porzuć modne stroje !

To ona, moja pani! O kochanie moje!

Gdyby wiedziała, że ją kocham tyle!

Mówi, ale nie usta; zaczekajmy chwilę,

Mówi okiem; w mym oku odpowiedź gotowa.

O! zbyt chętny jestem, nie do mnie to mowa.

Dwie gwiazdy, w pilnej kędyś posłane potrzebie,

Proszą oczu Juliji, by raczyły w niebie

Świecić, nim gwiazdy wrócą i znowu zaświecą.

I cóż, jeśli jej oczy do niebios uleczą?

I cóż, jeżeli gwiazdy błysną wśród jej czoła?

Błask Juliji oblicza gwiazdy zaćmić zdoła,

Jako dzień gasi lampy a niebo jej okiem,

Powietrzną jasność takim lałoby potokiem,

Że ptaki dzień w omylnym witałyby dźwięku.

Patrz, patrz, skronie anielskie złożyła na rękę!

Gdybym był rękawiczką, co jej dłoń okrywa,

I mógł dotknąć się liców!

JULIA

O, ja nieszczęśliwa!

ROMEO

Mówi! O, przemów jeszcze! Tyś moim aniołem,

Ty wśród cieniów północy świecisz nad mym czołem,

Jak wysłaniec niebieski, kiedy się roztoczy,

Srebrzystym skrzydłem rażąc śmiertelników oczy:

Zaledwo sporzec śmieją . . . on dosiadł obłoku

I lekko w napowietrznym żegluje potoku.

JULIA

Romeo! Za cóż ciebie „Romeo“ nazwano!

Wyrzec się ojca twego, zamień twoje miano,

Albo mi serce oddaj; gdy serce tve zyska,

Julija Kapuletów zrzecze się nazwiska.

ROMEO

Mury te przeleciałem na miłości piórach ;
Słaba dla niej zaporą w parkanach i murach.
Miłość umie pokazać na co się odważy :
Tym sposobem uszedłem Kapuletów straży.

JULIA

Jeżeli cię tu znajdą, legniesz z ich prawicy.

ROMEO

Więcej niebezpieczeństwa jest w twojej żrenicy,
Niż w dwudziestu ich mieczach. Spójrz tylko mile,
A ja oprę się wszystkich Kapuletów sile.

JULIA

Ach! za świat bym nie chciała by cię tu ujrzeli.

ROMEO

Płaszcz nocy mnie ukryje od nieprzyjacieli.
Kochaj mnie tylko, potem niech się groźba ziści.
Lepiej jest koniec znaleźć w cudzej nienawiści,
Niżeli w długim miłości niewzajemnej zgonie.

/Dziela. Tom I. Pa-
ryż 1869; str. 337-341/

Przełożył Adam Mickiewicz (1797–1855).

*

ROMEO

Kto nie czuł rany, blizny wyszydza.
Julia pokazuje się na górze w oknie.
Cicho! przez okno blask jakiś pada!
Wschódże to piękny, Julijaż słońce!
Zejdź słońce, zabij światło księżycy,
Bo ta Lucyna zazdrością blada,
Żeś od niej milsza, choć jej dziewica.
Nie służ Dyjannie, bo zazdrośnica;
Mgła, jej westalska barwa, pożółkła,
Głupcy ją noszą, porzuć jej służbę —
Moja to pani, moja kochanka:
Oby świadoma o tym została!
Mówi nie usty, bo ta niebianka
Mówi oczyma: odpowiem skromnie. —
Nadtom zuchwały, mówi nie do mnie.
Dwie najpiękniejsze gwiazdy na niebie
Mając odjechać w pilnej potrzebie,
Proszą jej oczu, nim wrócą z jazdy,
Aby świeciły w górnej ich sferze.
Gdy oczy w niebie, w jej twarzy gwiazdy

Chciałyby mieszkać: gwiazdom odbierze
Blask jej ze wstydem Juliji lice,
Jako dzień lampie; z jej oczu w niebie
Strumień światłości zleje się taki,
Że oszukane ozwą się ptaki,
Jakby witały słońce przy wschodzie.
Patrz, na swą rękę spiera policzek!
Obym był jedną z jej rękawiczek,
By się ku cudnej cisnąć jagodie.

JULIA

Biada!

ROMEO

Przemawia:

Jasny aniele, przemów na nowo;
Boś tyle dla mnie świecąc nad głową
Jasnym zjawiskiem w nocy tej mroku,
Jako skrzydlaty niebios posłaniec
Oślupiałemu śmiertelnym oku,
Co przerażone patrzy do góry,
Jak on rozpędza leniwe chmury,
Szybko w powietrza lecąc potoku.

JULIA

Romeo! za cóż tak ciebie nazwano?
Wyrzecz się ojca, porzuć twe miano:
Albo twe oddaj serce kochane,
A Kapuletką być poprzestanę.

ROMEO

Więcejli słuchać, czy odpowiadać?

JULIA

Imię twe tylko trzymam za wroga; —
Ten sam zostaniesz, choć nie Montego.
Nie jest Montego ręka ni noga,
Twarz, ni część inna ciała twojego.
Zwij się inaczej! Cóż imię znaczy?
Róża, nazwana innym imieniem,
Równie przyjemnym zachwyci tchnieniem;
Choćby Romeem ciebie nie zwano,
Równie zatrzymasz drogie przymioty
I bez imienia. — Porzuć twe miano,
Za to, choć nie jest część twej istoty,
Całkiem się oddam.

ROMEO

Chwytam za słowo:

Zwij mię kochankiem, chrzczę się na nowo;
Odtąd nie będę Romeem zwany.

JULIA

Któż to, co płaszczem nocy odziany
Myśli me zbałał?

ROMEO

O, święta! droga!

Nie wiem jak siebie objawić tobie,
Moje nazwisko trzymasz za wroga,
Bo nie przyjazne twojej osobie;
Zdarłbym je, gdybym miał napisane.

JULIA

Jeszcze w me uszy głosu twojego
Sto słów nie wsiąkło, dźwięki już znane,
Czy nie Romeo, czy nie Montego?

ROMEO

Żaden z tych, kiedy nie lubisz obu.

JULIA

Jak tu przyszedłeś, powiedz mi? czego?
Przez mur wysoki trudne przybycie;
Wiedząc, kto jesteś, szukasz tu grobu?
Ujrzą cię krewni, straciłeś życie.

ROMEO

Skrzydłem miłości mur przeleciałem,
Miłość nie wstrzymasz kamiennym wałem;
Miłość co może, zdziała najpewniej;
Przeto nie straszni twoi mi krewni.

JULIA

Jeśli cię ujrzą, będziesz w mogile.

ROMEO

Twa niebezpieczna więcej żrenica,
Jak ich dwadzieścia mieczów; patrz mile,
A zgromi wszystkich moja prawica.

JULIA

Za świat nie żądam, by cię ujrzano!

ROMEO

Mam w płaszczu nocy od nich ukrycie;
Gdy mnie nie kochasz, niech mnie zastaną:
Lepiej od wrogów stracić raz życie,
Jak niekochany w długim żyć skonie.

Dzieła Williama Shakespeara. Tom pierwszy.
Wilno 1840; str. 255–259/

Przełożył Ignacy Kefaliński (1807–1855).

Z „MAKBETA“ (I, 2)

DUNKAN

Jakiś się rycerz zbliża, krwią cały obłany,
Że wraca z pola bitwy, świadczą jego rany.

MALKOLM

On to, dla mej obrony, na ciosy się rzucił,
Walczył jak rycerz prawy, by mi wolność wrócił,
Witam cię, przyjacielu! — ale mów, w tej chwili
Na czyją wreszcie stronę zwycięstwo się chyli.

RYCERZ

Wątpliwą była walka. — Tak kiedy wśród wody
Dwaj się silni pływacze wypuszczą w zawody,
Płyną razem, jak gdyby do siebie zlepieni,
Wysilając swą sztukę wśród wodnej przestrzeni.
Makdonwald, on był właśnie stworzony do zdrady,
Bo wszystkie w sercu jego wylęły się jady,
Ściągnął szyki wysłane przez wyspy zachodnie,
I los nawet zdawał się wspierać jego zbrodnie,
Ale los, męstwo jego, wszystkie razem siły
Za słabe, niedołączne na Makbeta były;
On wbrew losu, jak drogi ulubieniec sławy,
Wznosił w górę niejednym zgonem oręż krwawy,
Aż do zdrajcy się przedarł jego groźnym błyskiem;
Nie przywitał zbrodniarza słowem lub uściskiem,
Ale go dzielnym mieczem rozciął na połowę
I zawiesił na murach naszych jego głowę.

DUNKAN

O Makbecie! o mego bohaterze rodu!

RYCERZ

Jak tam skąd słońce wstaje, jak często u wschodu
Rodzą się morskie burze, grzmoty piorunowe,
Tak skąd pomoc przyjść miała, wyszły wrogi nowe.
Królu szkocki! ach, uważ okropność tej chwili,

Ledwieśmy do ucieczki męstwem ich zmusili,
Gdy Norweczyk, wzmocniony hufcami nowymi,
Z szaloną się wściekłością rzucił na nas z nimi.

DUNKAN

Przeraziłaż mych wodzów ta burza grożąca?

RYCERZ

Jak się orzeł skowronka, lew lęka zająca,
Byli oni jak działa z podwójnymi strzały,
Bo ciosy ich po ciosach na wrogów padały.
Czy chcieli krwi powodzą tę ziemię zakrwawić?
Czyli nową Golgotą pole bitwy wsławić? —
Lecz już mdleję — o pomoc wołam raną moją.

DUNKAN

Równie ci twoje słowa — jak rany przystoją,
Bo tchną męstwem. — Polecieć lekarzom rycerza.
Wyprowadzają Rycerza. Wchodzi Ross.
Któż to biegnie?

MALKOLM

Tan Rossu śpiesznie tutaj zmierza.

LENOX

Radość, pośpiech, wieść dziwna w oczach jego błyska.

ROSS

Niech żyje król! —

DUNKAN

Skąd śpieszysz?

ROSS

Śpieszę z bojowiska,
Gdzie w powietrzu sztandary Swena powiewały,
Przejmując w swym powiewie dreszczem nasz lud cały.
Sam król norweski z siłą potężną napada,
Niecnego zdrajcy wsparła go nikczemna zdrada.
Kawdor cię zdradził. — Walka wszczęła się straszliwa,
Lecz nowy oblubieniec Bellony przybywa.
Mierzy oręż z orężem i z ramieniem ramie
I jego dzikie męstwo męstwem swoim łamie:
Słowem, nasza — wygrana. —

DUNKAN

Szcześnie!

Żąda upokorzony Norwegczyk pokoju,
Lecz nie dozwolim grzebać ciała jego współbraci,
Aż haracz umówiony skarbowi wypłaci.

DUNKAN

Kawdor ufności więcej nie oszuka zradnie;
Idź, rozkaż niech pod mieczem głowa jego spadnie,
Makbetowi Kawdorę śpiesz ode mnie nadać,
Bo wart Makbet pozyskać, co ten wart postradać.

[Makbet. . . *Wilhelma Shakspeara*. Poznań 1857; str. 10–12/

Przełożył Andrzej Edward Koźmian (1804–1864).

*

DUNKAN

Cóż to za krwawy człowiek? Zapewne z wieściami
Świeżymi o prowincjach moich zbuntowanych?

MALKOLM

Tak, jest to sierżant, królu, kurzem i ranami
Okryty, który bił się za nas i rumianych
Pełny wieści. Opowiedz, co wiesz, mój kochany,
W jakim stanie jest sprawa. . .

ŻOŁNIERZ

Gdym opuszczał pole,
Dwie strony, jak dwa morskie przeciwne bałwany,
Biły na siebie: w strasznej a zradzieckiej szkole
Wychowany Makdonwald, pełny czarnych jądów
I zarażony krwawą szatańską naturą,
Z Kerny i Galogłasy natarł: jego śladów
Fortuna, która wiatru jest zmiennego córą,
Pilnowała, szatańska i przeniewiernica,
Lecz dzielny Makbet, — słusznie mu daję to imię, —
Makbet, którego jasna stał, jak błyskawica,
Ukazana w kurzawie i ognistym dymie,
Zdaje się wykonawcy krwawym, strasznym mieczem,
Makbet: kochanek fortuny,
Ukazał się i męstwem cudnem, nadczołwieczem,
Torował sobie drogę, aż wśród krwi i łuny
Twarz w twarz spotkał się, królu, ze zdrajcą korony . . .
A wtenczas, ani znaku czyniąc, że się znali
Ze zdrajcą, miecz mu w piersi utkwił . . . i czerwony
Łeb jego na fortecy zatknął.

DUNKAN

I cóż dalej. . .

O mężny Makbet! Mów dalej. . .

ŻOŁNIERZ

Lecz jako słońce

Spod chmur, gdy nadto jasno i gorąco piecze,
Większą częstokroć stratę okrętom i końce
Zapowiada — podobnie, nad myśli człowiecze
Pomyślność się w nieszczęście nagle zamieniła,
Uważaj, królu, ledwośmy wygrali pole,
Większa daleko, nowa Norwejczyków siła,
Wsadzona na okręta i czajki sokole,
Brzegi nasze napadła.

DUNKAN

Jakże? i ta zdrada

Nie przeraziła wodzów Banka i Makbeta?

ŻOŁNIERZ

Jako jaskółek chmura, gdy orły napada,
Lub much chmura, u lwiego gdy się żywi grzbieta,
Tak ów napad — na twoje wodze. Powiem raczej,
Że oba wodze,
Jako dwa działa, puszką podwójną kartaczy
Nabite i tym zdrajcom stojące na drodze,
Rzygnęli oba straszną potęgą dwoistą
Męstwa i śmierci, niby krwią zalać gotowi
Pole i znów Golgotę męki wiekuistą
Budować z tych głów trupich. Resztę ci opowie
Sława — od ran nie mogę — słabnę . . . każ mi, panie,
Opatrzienia. . .

DUNKAN

Przystoją ci dobrze te rany

I słowa zdobią. Każcie mieć o nim staranie.

Żołnierz, wsparty na ramionach dwóch innych, wychodzi.

Wchodzi Ross.

Któż to nadchodzi?

MALKOLM

Tan Ross.

LENOX

Zda się pomieszany . . .

Niezwykłe mu się wieści malują na twarzy.

ROSS

Zdrowie królowi!

DUNKAN

A skąd, mój ty wojewodo?

ROSS

Z Fajfu, królu, gdzie mnóstwo norweskich wachlarzy
Na śmierć twój lud chłodziło. Z naszą wielką szkodą
Zdrajca i tan Kawdoru połączył się z niemi
I szedł straszliwy, przednie już pokonał strażę,
Gdy oto Makbet, który z torturą na ziemi
Ożenił się . . . straszliwą twarzą spojrział w twarze
Wrogów . . . miecz na miecz, siłę pochwycił na siłę,
Zmocował je i przy nas zwycięstwo osadził.

DUNKAN

O! pomyślność! . . .

ROSS

Królewicz Sweno . . . na mogiłę
Skony wyliczy tobie za to, że cię zdradził,
Znaczny okup . . . i teraz już liczy połowę
Hołdu.

DUNKAN

O! serca mego nie zdradzi już więcej
Wojewoda Kawdoru. Iść i wziąć mu głowę,
A jego wielką godność i tytuł książęcy
Dać Makbetowi.

ROSS

Śpieszę z tym rozkazem, panie.

DUNKAN

Co stracił Kawdor — Makbet szlachetny dostanie. . .

/Pisma. Tom III. Kra-
ków 1908; str. 528-531/

Przełożył Juliusz Słowacki. (1809-1849).

Z „WIECZORU TRZECH KRÓLI“ (II, 4)

KSIĄŻĘ

Jeszcze raz, Cesario,
Udaj się do tej pięknej, okrutnej hrabiny;
Powiedz jej, że ją kocham miłością wznioślejszą
Niż wszystkie skarby świata; że ani jej ziemie,
Ni inne dary losu nie ciągną mię ku niej.
Bo cóż obszary ziemi? mile piasku, błota!
A dary losu zmienne, jak samo ich bóstwo.
Jeden więc tylko klejnot, ten cud przyrodzenia,
Który w niej — w niej jaśnieje! zhołdował mą duszę.

VIOLA

Lecz jeśli kochać ona nie może cię, panie?!!

KSIĄŻĘ

Tej odpowiedzi nie da mi zapewne.

VIOLA

A jeśli by tę właśnie? . . . Pomyśl sobie, panie,
Że jakakolwiek lady /jak to i być może/
Pokochała cię równie gwałtownie, męczeńsko,
Jak ty, panie, Oliwię — nie mogąc jej kochać,
Czyliżbyś takiej właśnie nie dał odpowiedzi?

KSIĄŻĘ

O, nad możność kobiety, nad biedne jej siły,
Znieść tę namiętą burzę, co mym sercem miota;
Pierś jej nie tak przestronna, by ją zawrzeć mogła!
Och! bo miłość kobieca zmienna i drażliwa,
Jak za marzenie smaku; nie potrząsa serca
I uciesza się prędko przesytem, odrazą.
A moja miłość, to jak głód, jak morze,
Tyle pochłonać może!
Nie czyń więc tych porównań: bo żadna kobieta
Nie zdoła mię tak kochać, jak kocham Oliwię!

VIOLA

A jednak mi wiadomo . . .

KSIĄŻĘ

I cóż ci wiadomo?

VIOLA

Wiem i zbyt dobrze, że tak jak my, panie,
I czuć i kochać kobiety są w stanie.
Mam przykład bliski: mój ojciec kochany
Miał jedną córkę, co taką miłością
Tak przepadała za kimś upatrzonym,
Jak ja *naprzykład* za twą Księżą Mością,
Jeśli bym, dajmy, był sobie kobietą!

KSIĄŻĘ

I jakaż dalsza powieść?

VIOLA

Biała, niezapisana. Bo miłość w jej sercu,
Jak robak w pączku róży, żyła niewidziana,
Zjadała kwiat jej lica, zatruwała myśli
I nadała jej wyraz taki tęskny, smutny,

Jaki ma na pomnikach posąg cierpliwości
Obrócony z uśmiechem do posągu skargi.
Czyż to nie była miłość? O, jakkolwiek, panie,
Na słowaśmy obfici i skorzy do przysięg,
Lecz oświadczamy więcej, niżeli czujemy.
I w tych przysięgach więcej niż w sercu miłości.

KSIĄŻĘ

Lecz twa siostra z miłości przecież nie umarła?

VIOLA

Ze wszystkich siostr i braci jam tylko pozostał.
Jak się jednak skończyło? — nie wiem —
Więc mam się udać, panie, zaraz do hrabiny?

KSIĄŻĘ

O tym też właśnie myślę. — Leć do niej, mój drogi!
Wręcz jej ten dar ode mnie; powiedz, że miłości
Nie przytłumi nic we mnie, żadne odmówienie!

(Szekspir. Północna godzina. Wilno 1845; str. 77-80)

Przełożył Placyd Jankowski (1810-1872).

KSIĄŻĘ

Jeszcze raz, Cezario,
Idź do mej pani okrutnej — i powiedz,
Że moja miłość, nad świat szlachetniejsza,
Nie ceni wcale trochy nędznej ziemi.
Te skarby, jakie dała jej fortuna,
Ważę tak lekko jak fortunę samą.
Lecz mnie czaruje ów cud, owa perła,
Którą w jej kształty przelała natura.

VIOLA

Lecz jeśli ona kochać cię nie może?

KSIĄŻĘ

Nie mogę przyjąć tych słów.

VIOLA

Ale musisz.
Przypuść, że jest kobieta, — co możliwe, —
Która z miłości dla ciebie tak cierpi,
Jak ty dla tamtej. Kochać jej nie możesz
I mówisz jej to. Czyż ona nie musi
Twoją odpowiedź przyjąć?

KSIĄŻĘ

Nie, mówię, nie jest w naturze kobiecej
Takich porywów znosić namiętności,
Jakie są we mnie. Żaden duch kobiety
Nie jest tak silny, ani tak szeroki.
Niestety, miłość ich jest jak apetyt.
Tak, nie wątroba, ale podniebienie
Wzrusza się u nich, znosząc wstręt i sytość.
Lecz moja miłość głodna jest jak morze
I tyleż może trawić! Nie porównuj
Uczuć kobiety jakiejś dla mnie — z tymi,
Jakie są we mnie.

VIOLA

Mówisz! Ale ja wiem. . .

KSIĄŻĘ

Cóż wiesz?

VIOLA

Ach, nazbyt dobrze wiem, co przenieść zdolna
Kobieta, która kocha. O, zaiste
Serca ich równie są wierne jak nasze.
Ojciec mój jedną miał córkę. Dziewczyna
Kochała kogoś, tak jak ja — przypuścmy —
Kochałbym ciebie, gdybym był kobietą.

KSIĄŻĘ

Jakież jej dzieje?

VIOLA

Biała karta, panie.
Nigdy swych uczuć nie wypowiedziała.
Lecz tajemnica, jako robak w pączku,
Gryzła jej róże lic. Tęskniła w myśli,
Od melancholii żółkła, zzieleniała,
Jak cierpliwości bóstwo na grób padła,
Do swoich cierpień zawsze uśmiechnięta.
Czyż to nie była miłość?
Nasza płeć więcej mówi, więcej roi,
Ale w istocie są nasze objawy
Od naszych uczuć wyższe. Gdyż jesteśmy
Rozrzutni w jękach, lecz skąpi w uczuciu.

KSIĄŻĘ

Więc twoja siostra umarła z miłości.

VIOLA

Jestem jedyną z sióstr mojej rodziny,
A wraz jedynym z braci . . . chociaż nie wiem . . .
Mamże iść do niej?

KSIAŻĘ

Idź! Daj jej tę perłę.

Mów jej, że serca mego żal i głowy

Nie zna ustępstwa, nie pojmie odmowy.

/Dzieła Williama Szekspira. Tom VIII. Lwów 1896; str. 115-117/

Przełożył Antoni Lange (1861-1929).

Z „ANTONIUSZA I KLEOPATRY“ (II, 2)

ENOBARBUS

I z bogini twarzą.

Siedziała w łodzi; perły i klejnoty
Jej tron zdobily: przód był szczerozłoty;
Z purpury żagle, woń ich tak podniosła,
Że wiatr aż omdlał: srebrny maszt i wiosła,
Bijące w miarę przy stu fletni śpiewie,
Dotknęła fala, jak w miłosnym gniewie
Za łodzią goniąc, zlekka ją kołysze.
Co do niej samej, tego nie opiszę:
Leżąca pod namiotem, wpół korabiu
/Złotogłów lity, jasne tło z jedwabiu/,
Kwiat sypie w kąpiel, gdzie się słońce płuka,
Piękniejsza od Wenery, w której sztuka
Przewyższa wdzięk przyrody: u jej boku,
Z dołkami w licach i uśmiechem w oku,
Swawolnych dziatek płąsa rój wiosenny
Z wachlarzem pawim w ręku; wiatr wpółsenny,
Skoń ich całując pod różanym wieńcem,
Ubarwia żywszym gładką twarz rumieńcem
I chłodzi ją na przemian.

AGRYPPA

To ponęta

Dla Antoniusza!

ENOBARBUS

Śliczne jej dziewczęta,
Jak nimfy wodne, lub jak Nereidy.
Z wlepionym wzrokiem w oczy swej Tetydy,
Sklonieniem jej się wdzięczą: tam, przy sterze,
Syrena rządzi; jak łabędzie pierze
Podnosi żagle, zwalnia lub przyśpiesza
Bieg złotej łodzi. Lud i miejska rzesza
Zalewa brzegi, gdzie w dziewiczym gronie
Jej syn ją wita. W rynku, sam na tronie,

Nasz wódz westchnienia śle na cztery wiatry,
Co też by rade mknąć do Kleopatry,
Opróżnić przestwór, by się jej przyglądać.

*Antoniusz i Kleopatra... W.
Szekspira. Paryż 1872; str. 50-52/*

Przełożył Krystyn Ostrowski (1810-1882).

*

ENOBARBUS

Opowiem wam o tym.
Jej barka, niby tron skąpany w blaskach,
Paliła się na falach. Rufa była
Z kutego złota, żagle zaś z purpury
I tak pachnące, że miłośnie do nich
Wzdychały wiatry. Srebrne wiosła biły
W takt fletni, w szybszy bieg wprawiając wodę,
W ich uderzeniach, rzekłbyś, zakochaną.
Co do niej samej — nędzą są wcieloną
Opisy wszelkie. W swoim pawilonie,
Ze złotogłowi tkanym spoczywała,
Piękniejsza od Wenery, w której widzimy,
Jak nad naturę tryumfuje sztuka.
Po obu stronach stały pacholęta
Z dołkami w twarzach, niby roześmiane
Amorki. Różnobarwne ich wachlarze
Powiewem swoim, zda się, rozgrzewały
Pieszczone lica, które wciąż chłodziły,
I psuły własną pracę.

AGRYPPA

Co za widok

Dla Antoniusza!

ENOBARBUS

Jej niewieści orszak,
Jak Nereidy, jak zastępy syren,
Życzenia pani odgadywał z oczu,
Podnosząc jeszcze krasę jej swoimi
Zachwyconymi spojrzeniami. Niby -
Syrena udawała, że steruje,
A pod dotknięciem jak kwiat miękkich dłoni,
Nad wyraz sprawnych, z dumy się wzdymały
Jedwabne liny. Jakaś woń niezwykła,
Płynąca z barki niewidzialnie, miesza
Na brzegach zmysły. Lud wylega z miasta,
Antoniusz został sam na swoim tronie
Na targowicy, jego gwizdu nikt by

Nie słytał prócz powietrza, lecz i ono
Na Kleopatrze, gdyby nie strach próżni,
Poglądać by pobiegło i w naturze
Niewypełnioną zostawiło przepaść.

*William Szekspir. Antc-
nius i Kleopatra. Kra-
ków (1923); str. 105-107*

Przełożył Władysław Tarnawski (ur.1886).

ZE „STRACONYCH ZACHODÓW MIŁOŚCI” (III, 1)

BIRON

I być to może? Biron zakochany!
Ja, co miłości biczem dotąd byłem,
Ja, ja miłośnych westchnień kat okrutny,
Krytyk, stróż nocny wszystkich zakochanych,
Ja dumny pedant, ja ochmistrz surowy
Chłopięcia wszystkich ćmiącego przepychem,
Ślepego dziecka ciągle skwierczącego,
Starca i dziecka, olbrzyma i karła —
Kupida, króla miłośnych wierszydeł,
Rąk załamanych wszechwładnego pana,
Namaszczonego króla wszystkich westchnień,
Rządcy próżniaków, wszystkich malkontentów,
I wszystkich spódnic groźnego księżęcia,
Wielkiego wodza i imperatora,
Co woźnych tyle na swej trzyma służbie!
O, moje biedne, małe moje serce!
I ja mam zostać jego adiutantem,
I ja się w jego ubrać mam kolory
Na wzór obręczy jarmarcznego skoczka!
Co? Ja mam kochać? Ja żony mam szukać,
Którą potrzeba jak niemiecki zegar
Wciąż reperować: bo ciągle się psuje,
Zawsze źle idzie, źle godziny znaczy,
Choć go pilnujesz wciąż i regulujesz?
Ze trzech najgorszą pokochać szalenie,
Pustą dziewczynę, o brwiach z aksamitu,
Co zamiast oczu ma dwie kule smoły,
Która, przysięgam, figla mi wypłata,
Choćby sam Argus był jej eunuchem?
Do niej mam wdychać! dla niej sen postradać!
Modlić się do niej! Ha, to ciężka plaga,
Którą za karę Kupido mi zesłał,
Że się ważyłem mało dotąd cenić
Jego wszechwładną, straszną, małą władzę.

Będę więc kochał, pisał, wzdychał, prosił,
Błagał i jęczał, na nic żal nie zda się:
Ten kocha panią a tamten jej Kasię.

/Dzieła dramatyczne *William*
Shakespeare /*Szekspira*/. Tom
III. Warszawa 1877; str. 324/

Przełożył Leon Ulrich (1811–1855).

*

BIRON

Tak, zakochany, zakochany zatem?
Ja, którym niegdyś był miłości katem
I czułych westchnień krzykliwym pedantem,
Krytykiem — ba, co? nocnym policjantem
I bakalarzem nad bębniem smarkatym,
Co jednak wszystkich depce majestatem,
Com lżył Kupida, zuchwałego żaczka,
Ślepego mruka, marudę i płaczka,
Młodego starca, karlika - olbrzyma,
Pana prężących się ramion, psujryma,
Namaszczonego łkań i westchnień księcia,
Władcę próżniaków, mistrza desperatów,
Sułtana spódnic, tyrana kabatów
I koronnego wielkiego hetmana
Tylu depcących woźnych. Małe serce!
Ja mam być jego chorążym w żołnierce?
Jak skoczek w jego barwy postrojony?
Co ja? Mam kochać, żebrać, szukać żony
Do niemieckiego podobnej zegarka,
Bo raz za wolna, a raz jest za szparka,
Zawsze kapryśna, z wieczora czy z rana,
A chimeryczna, choć regulowana?
A wszystko, by się stać krzywoprzysięzcą,
Zadurzywszy się w najzłośliwszej dziewce,
W białym błazniku o jedwabnej brewce,
Z kulkami w oczach czarnymi jak smoła,
I co nie zechce krępować się zgoła,
Choćby stał Argus u jej drzwi eunuchem,
I czuwać dla niej i wzdychać mam do niej,
Ciągle pilnować oczyma i słuchem?
Ależ to istna plaga! — niech Bóg broni! —
Którą Kupido obecnie mię karze,
Iż groźną jego małość lekceważę.
Więc dobrze: będę kochał, pisał, wzdychał,
Żebrał i kwilił. Darmo, już tak ma się:
Jeden Małgosię kocha, drugi Kasię.

/Dzieła *William* *Szekspira*.
Tom VI. Lwów 1895; str. 31/

Przełożył Edward Porębowicz (1862–1937).

KRÓL RYSZARD

Innego konia! — Zawiążcie mi rany! —
 Zmiłuj się Jezu! — To nic; to sen tylko. —
 Jakże mnie dręczysz, tchórzliwe sumienie! —
 Świeca błękitno się pali. — To północ. —
 Drżące me ciało zimny pot okrywa,
 Siebież się lękam? Tu nie ma nikogo,
 Oprócz mnie: Ryszard nie godzi w Ryszarda;
 Jam wierny memu ja. Byłże by tutaj
 Jaki morderca? Nie: — tak: ja tu jestem,
 A więc uciekaj! — Przed kim mam uciekać?
 Przed samym sobą? — Jest racja: — dlaczego?
 Abym się zemścił. Jak to? sam na sobie?
 Wszakże ja siebie kocham. Kocham? za co?
 Cóżem ja sobie dobrego uczynił?
 O, nie! ach! ja się raczej nienawidzę
 Za nienawistne czyny, którem spełnił.
 Jestem łotr. Kłamię; nie jestem nim. Głupcze.
 Nie gań się: — głupcze, nie pochlebiaj sobie.
 Sumienie moje ma tysiąc języków,
 A każdy język czyni inny zarzut,
 A każdy zarzut lży mi nazwą łotra.
 Krzywoprzysięski fałsz w najwyższym stopniu;
 Niemiłosierny mord w najsroźszym stopniu;
 Wszelki grzech, w wszelkim stopniu popełniony,
 Dąży przed straszne kratki trybunału,
 Wołając: „Winny! winny!“ — Ha! to rozpacz! —
 Nie ma istoty, co by mię kochała;
 A gdybym umarł, nikt by się nade mną
 Nie ulitował: — któż się ma zlitować?
 Gdy sam nie czuję nad sobą litości.
 Zdawało mi się, że duchy tych, których
 Pomordowałem, do mego namiotu
 Zeszły się tłumem, i każdy z nich wzywał
 Na jutro zemsty na głowę Ryszarda.

/Dzieła dramatyczne. *William*
Shakespeare [Szekspira]. Tom
 I. Warszawa 1875; str. 508/

Przełożył Józef Paszkowski (1817-1861).

*

RYSZARD

Innego konia! Krew! Zawiążcie mi rany!
 Litości! Jezu! Cyt! Jestem zaspany.
 To sen był tylko. . . Ha, jak mnie zmordował
 Ten tchórz nie śpiący, sumienia głos dziki.
 Świece się kopcą. . . Północ. . . Słyszę krzyki

Dalekie straży. . . Pot powystępował
 Na moje czoło, zimny pot . . . drzę cały.
 Kogoż się boję? Siebie? Sam tu jestem.
 Ryszard z Ryszardem powinien być śmiały,
 Ryszard jest sobą. . . Szelest . . . jest szelestem
 Szat mych. . . Mordercy tu, co by mi serca
 Szukał żelazem, nie ma. . . Jest morderca,
 Jam jest mordercą. . . Uciekaj . . . przed sobą?
 Przed sobą samym? Zemścisz się na sobie.
 Ja kocham siebie. . . Kocham? Po co tobie
 Kochać, gdyś nie miał litości nad sobą,
 Gdyś z zbrodni w zbrodni brnął na twoją zgubę?
 Jestem zbrodniarzem. Skąd ty do zbrodniarza,
 Głupcze? Ten głupi, co się sam spotwarza!
 Głupi, kto w kłamstwie chce upatrzeć chlubę:
 Sumienie moje ma tysiąc języków,
 A każdy język inny czyn mój woła,
 A każdy czyn mój piętnuje u czoła
 Nazwisko zbrodniarza! Zmiennictwo zmienników.
 Mordy morderców przy mych gasną zdradach,
 Przy moich mordach białe się wydają
 I wszystkie wstały wraz, wszystkie wołają:
 „Przeklęty! Winny! Przeklęty na wieki!“.
 Rozpacz mnie chwyta! Na szerokiej ziemi
 Nikt mnie nie kocha, gdy padnę, łza żadna
 Nie padnie z oka. . . Skądże by. . . Daleki
 Ja sam, by wezwać litości nad sobą.
 A ot, przed chwilą, północną tu dobą
 Wizja mnie jakaś spłoszyła szkaradna
 Pomordowanych. Przyszli do namiotu,
 Aby mi wieścić zemstę.

/Dzieła. Serya I.— Tom V.
 Kraków 1887; str. 484/

Przełożył Józef Szujski (1835–1883).

Z „JULIUSZA CEZARA“ (III, 2)

ANTONIUSZ

Bracia Rzymianie! Dajcie mówić, proszę,
 Ile ze grzebać chcę, nie sławę głosząc:
 Złe zwykło ludzi przeżywać — inaczej
 Dobre: to zwykle nie opuszcza trumny.
 Tak jest z Cezarem. . . Brutus głosić raczy
 /Przezacny Brutus/, iż Cezar był dumny.
 Gdyby to było, byłaby to zdrada
 Ciężka, i ciężki cios na nią upada.
 Tu /przez Brutusa miłość, tudzież owych

Nie mniej przezacnych imion narodowych,
Albowiem Brutus zacny jest wszechstronnie/
Cezara mam też wzmiankować pozgonnie.
Był on mi niegdyś wiernym przyjacielem. . .
A lubo Brutus dumę jego głosi,
Z tym zacnym mówcą zdanie nasze dziełem,
Ile iż cieniu nawet zła nie znosi.
Zmarły, prowincji zwojowawszy wiele,
Obrócił haracz na publiczne cele.
Byłaż to pycha. . . Gdy biedni jęczeli,
Łzy ronił. . . Wspomnieć by tu należało,
Iż pycha zwykła rozrzewniać się mało.
Lecz Brutus mniema, iż ta była celem,
A Brutus zacnym jest obywatelem.
Na własne oczy zresztą widzieliście,
Iż mu królewską po trzykroć koronę
Podałem w dzień ów, gdy było święcone
Święto Luperkal — wzgardził oczywiście,
Po trzykroć w inną spoglądając stronę.
Lecz zacny Brutus, przenikłszy te rzeczy,
Mniema, iż pychę Cezar miał na pieczy.
Mniemaniem przeto zostawiam mniemanie,
A utwierdzone głoszę przekonanie.
Wy wszyscy — nie mniej czciliście Juliusza,
Czemuż nie płakać gdy się serce wzrusza?
O sądzie. . . Zwierzę mniej pod świata czarem,
Niż rozum ludzki. . .

Tu . . . dajcie mi chwilę . . .

Serce me w trumnie poszło za Cezarem,
I czekać muszę, aż się wróci w sile. . .

Dziela. Warszawa 1934; str. 430/

Przełożył Cyprian Norwid (1821–1883).

*

ANTONIUSZ

O! przyjaciele! Rzymianie! rodacy!
Obywatele! dajcie posłuchanie!
Przychodzę grzebać, nie chwalić Cezara.
Złe, które człowiek zdziała, trwa i po nim,
A dobre często razem z nim się grzebie. . .
Tak niech z Cezarem będzie. Zacny Brutus
Mówi, że Cezar zbyt był władzy chciwym;
Jeśli tak było, ciężka to przewina,
I ciężko Cezar ją odpokutował.
Tu, z przyzwolenia Brutusa i tamtych,
Bo Brutus wielce jest czcigodnym mężem,
I tamci wszyscy, wszyscy są czcigodni. . .

Przychodzę mówić przy zwłokach Cezara.
On mi był druhem, wiernym, szczerym dla mnie,
Lecz Brutus mówi, że był władzy chciwym. . .
A Brutus wielce jest czcigodnym mężem!
Mnogo on jeńców nieraz wiódł do Rzymu,
Ich okup skarb nasz publiczny napętniał!
Czyż to w Cezarze zdradza władzy chciwość?
Kiedy ubogi jęczał, Cezar płakał;
Kto chciwy władzy, twardsze zwykł mieć serce. . .
Lecz Brutus mówi, że był władzy chciwy,
A Brutus wielce jest czcigodnym mężem!
Wśród Luperkaliów wszyscyśmy widzieli,
Żem mu koronę trzykroć ofiarowałam. . .
Trzykroć odmówił, czyż to władzy chciwość?
Lecz Brutus mówi, że był władzy chciwym,
A Brutus pewnie jest czcigodnym mężem;
Temu, co Brutus mówi, ja nie przeczę,
Mówię tu tylko to co mi wiadomo,
Wszakżeście wszyscy niegdyś go kochali
Nie bez przyczyny, i cóż was wstrzymuje
Żebyście po nim nie czuli żałoby? . . .
O! prawy sędzie! tyś uciekł do zwierząt!
Ludzie stracili rozsądek! . . . Przebaczcie!
W trumnie Cezara teraz moje serce,
I muszę przestać, aż znów do mnie wróci.

*Juljusz Cezar. . . W. Szek-
spira. Lwów 1859; str. 80–81/*

Przełożył Adam Pajgert (1829–1873).

Z „KRÓLA LIRA“ (IV, 6)

EDGAR

Dalej! dalej! milordzie! . . . Owośmy na szczycie!
Stójże! cicho! . . . Strach bierze i w głowie się mroczy,
Gdy w tę przepaść niezmierną człek zanurzy oczy!
Wrony i kawki, co tam wpośród niej bujają,
Zaledwie się tak wielkie jako chrząszcze zdają,
Na wpół drogi człek jakiś co się czepia skały
I zbiera morski koper — /okropne rzemiosło!/ —
Wygląda stąd jak własna jego głowa, mały,
Rybak, co w tej zatoce płucze swoje wiosło,
Rzekłbyś swoją postacią myszy nie przechodzi;
Wielki okręt, co ówdzie stoi na kotwicy,
Małeje do rozmiarów swojej wielkiej łodzi;
A łódź ledwie widzialna dla ludzkiej żrenicy,
Niby pławek kotwiczny; fala szalejąca,

Co się z hukiem na żwirach nadbrzeżnych roztrąca,
Swym łoskotem wyżyny tej nie sięga wcale. . .
Nie chcę dłużej już patrzeć! w głowie mi się kręci,
W oczach ćmi . . . chwilę dłużej tak, a bez pamięci
W niezmierną tę przepaść piorunem się zwałę!

/Król Lir. . . Szekspira.
Lwów, 1870; str. 168/

Przełożył Adam Pług (1824–1903).

*

EDGAR

Podejdz panie! — tutaj
jest właśnie szczyt. Nic nie mów! jakże strasznie
zawrotnie rzucać wzrokiem w taką głębię.
Gawrony, kawki, które wpół powietrznej
skrzydłami biją drogi, nie są większe
stąd, niżli bąki. Tam — w połowie skały —
ktoś, zbierający skalny chwast, zawisnął —
straszliwy zawód! — zda mi się nie większy
od własnej głowy. — Na wybrzeżu morskim
rybacy stąd wydają się jak myszy,
a tamten smukły na kotwicy statek
w rozmiary zmałał własnej łodzi, łódź zaś
w pływaka, prawie już niewidocznego.
Szumiący przypyw, co na niezliczonych
bezpłodnych żwirach tłucze się, nie może
dojść rykiem tutaj! . . . Dłużej już tam patrzeć
nie mogę, bo mi w głowie się zakręci
i mrok na oczy padnie — i polecę
wprost w przepaść.

/William Szekspir. Król Lir.
Kraków 1923; str. 152–153/

Przełożył Andrzej Tretiak (1886–1944).





